

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok IV. ŁÓDŹ, 19 marca 1961 r.
Nr 11 (159) Cena 1 zł

HENRYK ANDERS

Migawki z SOFII

Są miasta, w których zza węgła wyziera historia. Sofia do nich nie należy. Po dwudziestu pięciu wiekach istnienia, klęsk i chwały, wygląda na to, czym jest istotnie, na miasto z drugiej połowy dziewiętnastego stulecia.

Na tle ukrytej w zieleni, raczej niewysokiej zabudowy, niby wyspa skalista, piętrzy się dzielnica urzędowa. Po dokładnych wyburzeniach, spowodowanych przez anglo-amerykańskie naloży w okresie wojny, odbudowano ją w „klasycyzującym stylu”. Z tradycją miejscową nie ma to nic wspólnego, ale monumentalność bloków dodaje miastu splendoru, więc się podoba. Mieszkańcy tak się nią chlubią jak pomnikami na skwerach, czy też pseudo-stylowym soborem pod wezwaniem św. Aleksandra Newskiego, gmazyskiem ogromnym, kapiącym od złota i dziwnie szpetnym.

Obok tej wspaniałości kuli się w zapomnieniu jeden z trzech zachowanych jeszcze zabytków: omszała bazylika romańska św. Zofii,

przebudowana w średniowieczu świątynia z V wieku, świątynia, która kiedyś budziła tak powszechny zachwyt, że całe miasto zapożyczyło od niej swą ostatnią nazwę.

Dla odmiany, pozostałe zabytki — kościół św. Jerzego z IV wieku oraz fundamenty najstarszej rzymskiej świątyni — obudowano szczerze kompleksem przytłaczających, wielopiętrowych gmachów.

Jak udało mi zauważyć, Bułgarzy zapatrzeni są w przyszłość. Daremnie próbowałem się dowiedzieć, czy i gdzie znajdują się jakieś szczątki murów średniowiecznego Sredecu. Nie u-

Dalszy ciąg
na str.
6



Praca Iwana Neszewa

Opisanie Łodzi?

PIOTR KOWALSKI

Aktualne okazje

Wszyscy o tym dobrze wiemy, że usłyszane czy przeczytane słowo „okazja” działa na nas w sposób mobilizujący, może i w pewnym stopniu prowokujący do działania. Pamiętają o tym (a przynajmniej dobrze by było aby czasem sobie przypominali) nawet i nasi handlowcy. Znają różne rodzime „okazje” panie i panowie (np. przyjemne święta i mniej przyjemne — świąteczne porządki). Ale bywają też zupełnie innego rodzaju okazje — okazje poważne i powiedziałbym dla wszystkich. Właśnie zbliżamy się do takiej ogólnej i poważnej okazji. Mam na myśli wybory, a właściwie nie tylko bardzo istotny i odświeżający akt wyborczy, ale cały okres poprzedzający to społecznie doniosłe wydarzenie.

Z jednej strony najbliższy okres jest doskonałą okazją do refleksji na temat minionej czteroletniej kadencji Sejmu a jednocześnie zakończonej trzyletniej działalności Rad Narodowych. Warto jest sobie uprzytomnić nasze nadzieje i zamierzenia, związane z wybieraniem przed kilkoma laty organami władz państwowych i miejskich. I to nie tylko przypominając ogłaszane ustawy, zmierzające do uregulowania szeregu spraw ważnych społecznie a jednocześnie istotnych dla prywatnych losów niejednego obywatela. Nie tylko rozglądając się po naszym mieście z perspektywy trzech lat dla uświadomienia zmian, do

(Dalszy ciąg na str. 2)

Dziś 2 strony „Mieszanki filmowej” — str. 3 i 4



Wanda Koczeńska w filmie „Drugi człowiek”

Fot. W. Rozmysłowicz



KRYSZYNA WYSZOMIRSKA

Fot. Kudaj

TAJEMNICE «DESY»

Ostatnie dni wojny. Przez jedną z podłódzkich wiosek jedzie wojskowy samochód pomalowany w ochronne pasy. Przy kierownicy officer SS. Silnik milnie tuż przez małą chłopską zagrodą. Przerażony gospodarz słyszy rzucone niecierpliwym głosem pytanie — „Gdzie tu benzyna?” — Ale benzyny nie było od dawna. Gestapowiec pokrzykiwał trochę, pokreślił się kolo wozu i zniknął zabierając ze sobą niewielki pakunek. Załadowany samochód pozostał przed zagrodą. Co znajdowało się wewnątrz? O tym historia milczy. Wiemy tylko, że dzięki tej niezwykłej przygodzie odnalazły się dwa cenne plótna Fałata. Przez kilka lat służyły jako dodatkowe wzmacniacze dachu w chlewie i dopiero niedawno, jeden z przejeżdżających przypadkowo przez ową wioskę działaczy oświatowych zobaczył je, kupił i przywiózł do Łodzi. To był oczywiście przypadek, przypadek, dzięki któremu odzyskał dwa zabytki naszego malarstwa. Co działo się z nimi dalej? Otóż po wielu perypetiach znalazły się w sklepie „Desy” przy ul. Piotrkowskiej 127. W najdroższej chyba „rupieciarni”,

Przychodzą tu różni ludzie, znawcy sztuki i laicy, przychodzą typowi zbieracze, kolekcjonerzy. Ci dzielą się na trzy kategorie. Pierwsza to zbieracze „cisi” albo „dzicy”, kupują, zamieniają i ukrywają swoje zbiory przed ludźmi. Druga kategoria to tacy, którzy chętnie

kupują wszystko mało znając się na wartości, posiadanych przedmiotów. I trzecia grupa, to zbieracze „wytrawni”, ci często odstepują swoje zbiory muzeom, udostępniają je naukowcom. Jednym słowem są to zbieracze pożyteczni. Odwiedzają „Desę” często, systematycz-

nie powiększają swoją kolekcję. W niepozornej statuetce czy filiżance potrafią odnaleźć cechy kwalifikujące dany przedmiot jako wyjątkowo cenny zabytek sztuki.

Jedni zbierają monety, drudzy porcelanę, inni srebro, tkaniny. Każdy z nich stara się poszczycić jak najcenniejszą kolekcją. Np. jeden ze znanych łódzkich lekarzy posiada prywatną galerię wspaniałych obrazów. Tyle na razie o kolekcjonierach, gdyż nie tylko oni są klientami „Desy”. Zobaczyć tu można ludzi, którym wystarczy samo patrzenie i podziwianie antyków. Przesuwają się oni cicho i nieśmiało po salonie „Desy”, czasami pytają o cenę, a kiedy usłyszą odpowiedź, uśmiechają się ze smutkiem i rozczarowaniem. Wychodzą ze słowami „wpadnę w przyszłym tygodniu — na razie nie mi nie odpowiada”.

Przychodzą tu młode małżeństwa i ludzie samotni z prośbą o poradę — jak urządzić mieszkanie, jak dobrać obraz czy dywan,

Takich klientów kierownictwo salonu ceni sobie chyba najbardziej, tych ludzi można nauczyć pojmowania piękna sztuki i dużą satysfakcją są ponowne ich odwiedziny w „Desie”, podziękowanie oraz nowe zakupy... Spotkać tu można mężczyzn o podejrzanym wyglądzie, wyciągających ukradkiem spod płaszcza jakąś patereczkę obraz — na ogół przedmioty bezwartościowe, falsyfikaty albo landszafty. Po zwykłej odmownej odpowiedzi ludzie ci wychodzą z wiedzeniem i rozczarowaniem, nie rzadko zostawiając wokół przykry zapach alkoholu...

Przychodzą młodzi chłopcy i dziewczęta prosząc o

Dalszy ciąg
na str. 7



Fot. J. Glowacki

KRZYSZTOF POGORZELEC

NIE WIECIE,

A Z MAMA TO ŻYCIE NIE MOŻNA, BO JAK DOSTANIE PIENIĄDZE TO ZARAZ GDZIEŚ IDZIE NA CAŁY DZIEŃ, A JA MUSZĘ GŁODOWAĆ, MACIE MNIE ZA WYKOLEJENCA, A NIE WIECIE, ŻE TO PRZEZ WAS...

„NIE WIECIE, ŻE TO PRZEZ WAS”...

„Czy bym mógł panią prosić, żeby pani dała mi gdzieś do domu poprawczego, na dwa lata lub do jakiegoś zakładu wychowawczego. Chcę tam iść, bo we własnej rodzinie to ja się nie wychowam na dobrego mężczyznę”.

„Wczoraj ojciec pijany mamę wygnał, a ja ze siostrą spałam na strychu. Jak jesteśmy głodne, to mówię, że w rynsztoku jest to może coś jeść...”

„Przekonałem się, że mama jest gorsza od ciebie, bo stała mnie namawia, że bym poszedł do domu dziecka... Z nią to ja żyć już nie mogę, bo jak dostanie pieniądze to zaraz gdzieś idzie na cały dzień, a ja muszę głodować. Macie mnie za wykolejencę, a nie wiecie, że to przez was”...

Zachowałem oryginalną pisownię małego Józka z ulicy Drukarzkiej, 14-letniego chłopca z ul. Parcelacyjnej, dzieła czyni, która kończy swój list skierowany do opie-

kuna społecznego dzielnicy Bałuty następującymi słowami: „Pani nie mów o tym ojcu, bo będzie bli” — bohaterów felietonów i szkiców opublikowanych w ramach dyskusji „Obyśmy wspólnie odetchnęli”.

Być może spotykacie tych Bronków, Józków i Zośki na ulicy, przed „Bałtykiem” lub „Polonią”, gdy na ekranach wchodzi jakiś rewelacyjny film. Wtedy zduszonym szeptem — proponują: „Dwa za trzy” — dychy na złość?

Mijacie ich obojętnie lub kupujecie dwa skrawki zadrukowanego papieru. Konię, kropka. Tak jak w sklepie rozchodzą się w różne strony. Wy — do sąsiadki kina, oni —

Właśnie — gdzie oni? Różnie. Czasami zrywają się do domu. Niestety, aż nazbyt często ten dom jest rodzinnym tylko w cudzoziemcu.

Nazywa się Alicja Studzińska i jest matką dwojga dzieci. Mąż — w wojsku, a żona?.. Oto co ustalił opiekun społeczny: Bardzo często można ją spotkać w restauracjach, dwoje dzieci

pozostawia bez opieki zamkniętym w mieszkaniu, by nikt obcy nie spostrzegł, że dzieciaki nakarmione przez ich matkę środkami nasennymi śpią w dzień i w noc. Nie pomogły wielokrotne interwencje opiekuna społecznego, sąsiadów. O ile wiem, Alicja Studzińska zainteresowała się ostatnio prokuratorem, który wydał polecenie aresztowania wyrodney matki, a dzieci umieszczono w Państwowym Domu Dziecka.

Nie będę już teraz cytował nazwisk ani podawał adresów, pod którymi mieszkają ludzie, tylko pozostawię im nazwy ulic, które nazywają się rodzinami. Mój „wykaz” może być jednak bardzo obszerny.

N. Lat około 35. Pozostawia bez żadnej opieki dwoje dzieci w wieku 4 i 6 lat. Przeprowadzony przez opiekuna społecznego wywiad kaže przypuszczać, że N. trudni się nierządem.

Z. Matka sześciorga dzieci, nalogowa alkoholiczka. Sad dla nieletnich ograniczył jej władzę rodzicielską i ustanowił nad dziećmi opiekę kuratora. Brak poprawy w zachowaniu. Z. nadal się upijała i demoralizowała swoje otoczenie oraz dzieci. O ile wiem, Z.

Sadem dla Nieletnich, wobec recydywy wylania się konieczność umieszczenia w specjalnym zakładzie.

J. K. Lat 15, urodziła dziecko, podejrzana o prostytucję.

Z przykrością muszę stwierdzić, że problem rozkładu moralnego rodziny, który pokazałem tutaj tylko na kilku wyrywkowych przykładach, jest zjawiskiem często spotykanym. Z rozmowy, którą przeprowadziłem z opiekunem społecznym działającym z ramienia Prezydium DRN — Bałuty p. Wandą Mec wynika, że tylko w tej jednej dzielnicy Łodzi ponad 590 rodzin można określić jako bardzo zaniedbane moralnie, wymagające natychmiastowej ingerencji pedagoga, a często nawet organów sprawiedliwości. Niebezpieczeństwo jest tym groźniejsze, że w tych samych rodzinach znajduje się 687 dzieci.

Umyślnie użyłem słowa „znajduje się” a nie powiedzmy „wychowuje”. Byłoby to bowiem nieścisłe, błędne. Bo czego dobrego może się nauczyć chłopiec czy dziewczyna od swoich rodziców, którzy są nalogowymi alkoholikami, ludźmi notorycznie figurującymi w

de wszystkim otoczeniu spychają go na tę drogę, sprawiają, że młody chłopak zamiast iść do szkoły zbija baki po ulicach, trudni się zawodowo sprzedażą kinowych biletów, poszukuje przygód, a potem okradzie kiosk, by wreszcie trafić na salę sądową.

Dzieci patrzą na nas. Na dorosłych. Bardzo uważnie notują w pamięci wszystkie awantury rodziców alkoholików, bójk i nieporozumienia, rozkład moralny rodziny. Czasami buntują się przeciwko temu. Świadczyć mogą o tym przytoczone przeze mnie listy. A jednak — to właśnie na młodzież spycha się gros winy. Wolno mi chyba postawić pytanie — czy słusznie?

Moim skromnym zdaniem — to nie ci młodzi ludzie są winni. Odpowiedzialność za ten stan rzeczy spada przede wszystkim na dorosłych.

Odpowiedzialność? Wydaje mi się, że trudno obecnie w ogóle mówić o jakiegokolwiek odpowiedzialności. Nie ma żadnych przepisów, które by karały wyrodną matkę czy ojca, a pozbawienie praw rodzicielskich w rzeczywistości jest dla tych wypaczonych moralnie ludzi często tylko nagrodą. Koncowym przecież skutkiem jest to, że odpowiedzialność za przyszłe wychowanie ich dzieci przejmują na siebie państwo, ono łączy na ubranie, wyżywienie, szkołę, ono zapewnia start życiowy.

Więc? Aż trudno wydusić z siebie te słowa, ale chyba jedynym racjonalnym wnioskiem który się nasuwa jest postulat zmiany obecnych przepisów. Rodzice muszą się poczuć odpowiedzialni za swoje dzieci. Jeżeli dochodzi już do pełnego rozkładu i rozpadu rodziny to i wtedy wyrodną ojciec lub matka nie powinni otrzymywać „premi” w postaci — pozbawienia praw rodzicielskich, skierowania dzieci do Państwowego Domu Dziecka. Być może obowiązek lożenia pewnych sum przez rodziców nawet wtedy, gdy ich dzieci znajdują się w państwowym zakładzie wychowawczym zmieniłyby nieco sytuację, być może ludzie ci — choćby pod przymusem i pręgiem prawa — zmieniliby nieco swoje oblicze, stali się bardziej bliscy w pojęciu rodziców.

Ryba gnije od głowy. I właśnie od niej trzeba zacząć. Wydać mi się, że to właśnie od niej trzeba zacząć.

Opisanie Łodzi?

usiłował wejść do świątyni Prawdy przy pomocy napędu sił podświadomych, irracjonalnych, ale czysto ludzkich, dlatego musiał skończyć upadkiem i przejść do historii”.

Dobrze, że skończyło się tylko upadkiem i przejściem do historii. Mogło być gorzej, bowiem „mystycyzm pozbawiony zdrowego rozsądku i przewodnictwa wiary religijnej, przypomina żeglowanie po głębi w zupełnych ciemnościach i bez żadnych znaków kontrolnych. W skali społecznej doprowadza do zbiorowych obłądów, iluzji, kultu mitów, historii narodowej rasowej itp. zjawisk psychopatologii społecznej”.

Surrealizm w skali społecznej mógł więc kończyć się znacznie gorzej. Np. zbiorowym obłądem albo histerią narodową.

ERAZM

Aktualne okazje

(Dokończenie ze str. 1)

których tak łatwo oko się przyzwyczailo. Tutaj jest miejsce i czas do przeprowadzenia po cichutku małego „rachunku sumienia”. Takiego zupełnie osobistego, prywatnego, i to nie tylko z punktu widzenia osobistego udziału w przemianach, jakie na naszych oczach wolniej czy szybciej dokonują się.

Zachęcam gorąco do spojrzenia wstecz na stałe i namiętnie uprawiane przez nas wszystkich narzekania i bładołenia. Czy w tym zakresie w ostatnich latach zasłyszysz zmiany? Jaka była treść tych narzekań, a więc niezapokojonych potrzeb przed kilku laty i obecnie? Nie wiem czy ekonomisci zgodziliby się ze mną na przyjęcie takiego wskaźnika poziomu stopy życiowej, ale przecież to tylko propozycja prywatna, do naszych osobistych rozważań. Oczywiście, dla wielu z nas niestety, jeszcze podstawowa potrzeba w postaci dogodnego mieszkania nie została zaspokojona — ale przecież oczekując na mieszkanie nie rezygnujemy z chęci posiadania telewizora, pralki (radio to już prawie nie na tym etapie) mebli, ubrań — czegoś na dwóch czy czterech kółkach itp. itp.

Z drugiej strony w najbliższym związku z problemami poruszonymi wyżej wylania się druga okazja. Okazja, aby prywatnie ocenić, opinie i refleksje myślowe obywateli stały się przyczynkiem, pomocą dla nowo wybieranych władz.

Przed trzema laty socjologowie łódzcy współdziałając z naszą prasą przeprowadzili przy okazji wyborów do rad narodowych serię badań opinii publicznej mieszkańców miasta Łodzi. Do wybranych „na los szczęścia” obywateli naszego miasta zwrócił się z listą pytań specjalny wysłannicy, prosząc o wypowiedzi na tematy interesujące ogół obywateli, jak i ówczesnych przedstawicieli władz miejskich. Pytano o potrzeby, bolączki, o kontakty z urzędami i agendami rad narodowych, o ocenę załatwiania spraw o stosunek aparatu rad narodowych do potrzeb ogółu i poszczególnych jednostek. Trzeba podkreślić, że były to pierwsze w Polsce tego typu prace badawcze, przyczyniające się nie tylko do uzyskania usystematyzowanych wiadomości o treści publicznej opinii mieszkańców naszego miasta, ale także poważne doświadczenia, rozwijające i doskonalące metody prac naukowych w łódzkim ośrodku socjologicznym.

Okazja nadchodzących wyborów i w tym roku będzie wykorzystana przez łódzkich socjologów do przeprowadzenia podobnych badań. Tak jak przed trzema laty z ogółu dorosłych mieszkańców Łodzi wybrana zostanie na „los szczęścia” pewna grupa obywateli, do których zwróca się odpowiednio przygotowany student Uniwersytetu Łódzkiego z prośbą o rozmowę.

Wyniki tegorocznych badań nie tylko powinny przynieść usystematyzowane wiadomości o aktualnych opiniach i potrzebach, ale także staną się podstawą do ważnych społecznie i naukowo studiów porównawczych, ukazujących zmiany i różnice w poglądach łódzian sprzed trzech lat i obecnie.

Organizatorzy badań jak i wszystkie zainteresowane wyniki czynnik liczą, że tak jak i poprzednio społeczeństwo łódzkie wykaże zrozumienie i pomoc dla tych prac, a wylosowani łódzianie znajdą pół godziny czasu aby w przyjaznej atmosferze udzielić na postawione pytania odpowiedzi, które razem zebrane, ogólnie podsumowane dadzą nam naukowy obraz opinii mieszkańców naszego miasta.

PIOTR KOWALSKI



NIE DAJMY SIĘ ZWARIOWAĆ

„Nie dajmy się zwariować”, powiadają redaktorzy „Świata” i publikują w ostatnim numerze swego tygodnika zdjęcie Marka Holzmana z paryskiego salonu malarstwa i rzeźby „Comparaisons 61”. Który to salon jak się dowiadujemy ze zdjęć i z krótkiego ko-

mentarza, przypomina skład ze starzyzny, jako że można w nim obejrzeć, nalepione na płótno lub zawieszzone pod sufitem, listy skórk, biustonosze, szelki, skorupki od jajek, strzepy koszuł itd. itd. P. Marek Holzman i redaktorzy „Świata” prześmiewają się z takiej sztuki („dzieło p. Deschamps ma jedną zaletę — powiadają podpiś pod fotomani — kiedy się przybrudzi, można je oddać do chemicznej pralni” albo „p. Lora jest najbardziej konsekwentny: od razu złożył swoje malarstwo w trumnie. Nie czekając na głosy krytyki. Requiescat... w pace”), prześmiewają się także z tekstu francuskiego malarza Jeana Dubuffeta, który zaleca owe listy skórk i strzepy koszuł, widząc w nich szansę sztuki. „w której przejawiały się tylko i wyłącznie inwencja, nie zaś, jak to stało widziemy w sztuce tak zwanej kulturalnej, imitacja i malarstwo”. Ja bym się nie śmiał i tekst Dubuffeta, i sztuka, wykorzystująca jako

material odpadki, resztki z naszego bytowania, są dość znamienne, bo świadczą o rozpadzie pewnego systemu wartości, a może i pewnej kultury. Warto też chyba pamiętać o tym że każda epoka ma taką sztukę na jaką zasługuje. Ja bym się więc nie śmiał, nie wypada bowiem śmiać się ze swojej epoki. Należy raczej robić dalej to, co uważa się za słusne, i to robić ze śmiałością. To, co pozostanie (a któż z nas potrafi powiedzieć, co pozostanie?), będą mieli prawo ocenić dopiero nasi wnukowie. Ponieważ nie wiemy, z czego będą się śmiać nasi wnukowie, wiemy natomiast, że ten się śmieje dobrze, kto się śmieje ostatni nie dajmy się zwariować redaktorem „Świata” i poczekajmy na ocenę przyszłości.

DLACZEGO SURREALIZM MUSIAŁ PRZEJŚĆ DO HISTORII?

Na to dość skomplikowane pytanie — które wymagało-

by zapewne przedyskutowania tak przyczyn wybuchu pierwszej wojny światowej jak i przemian zachodzących w składni współczesnego wiersza — znalazł dość prostą odpowiedź ks. Zygmunt Mościcki. W artykule „Mistycyzm naszego wieku”, opublikowanym przez „Tygodnik Powszechny”, ks. Mościcki pisze: „Jeśli współczesna sztuka zdołała przejść mękę ogłocenia, jeśli przedarła się przez zasłony świata empirycznego, a nawet świata wyobraźni i pojęć to niewątpliwie szła drogą mistyki, parta nie ugazonym pragnieniem dotarcia do samego jądra tajemnicy, głębi, absolutu — ale zapominała o tym, że w tych rejonach próżni, gdzie już skrzydła wyobraźni i zwykłych pojmowań nie są przydatne musi mieć miejsce albo przypięcie sobie skrzydeł wiary w Boga albo upadek Ikara. Surrealizm

str. 2 **odgłosy**

KOBIETA W FILMIE

Dzień Kobiet stanowił doskonałą okazję do głębszych refleksji nad rolą i znaczeniem kobiet. Rezultaty tych refleksji bywają zapewne rozmaite. Redakcja „Mieszkanki filmowej”, którą jak wiadomo interesują wyłącznie kobiety na ekranie, uroczyście postanowiła jeszcze więcej niż dotychczas miejsca i uwagi poświęcać sprawom płci pięknej. W ramach tych entuzjastycznie podjętych zobowiązań rozpoczynamy cykl felietonów o kobietach filmu i w filmie.

Film jest nie tylko grą czarno-białych lub barwnych cieni rzuconych na płótno ekranu ku ucieście spragnionej zabawy publiczności. Film jest również projekcją pragnień, marzeń, aspiracji często niezaspokojonych, często nawet podświadomych teź publiczności. Wyzwała je i ujawniała moralność i mentalność naszego społecznego, kształtując modę, obyczaje a nawet moralność i mentalność następnej epoki. Wyrażając pewne ukryte tendencje nurtujące świadomość społeczną, film narzuca się jednocześnie w sposób sugestywny i autorytatywny. W XIX-tym wieku źródłem natchnienia dla duszy i postaci kobiecej była przede wszystkim literatura i częściowo teatr, które dostarczały modeli rozmaitych Maryl, Madzi i pań Bovary.

Możliwości literatury w tej mierze pozostawały jednak bardzo ograniczone. Miało to zresztą swoje dobre strony. Istniała większa swoboda i dowolność w naśladowaniu. Kobiety bardziej niż dziś, w epoce standardu i uniwersalizmu, starały się podkreślić swój oryginalny, indywidualny styl ubioru i zachowania. Moda zmieniała się w owych pięknych czasach powoli, ku zadowoleniu matek i mężów. Prawdopodobnie i dlatego że była kosztowniejsza. Dziś czasy się zmieniły. Teraz ciało i duszę kobiety kształtuje film, na jednakową

niemal modę we wszystkich częściach świata, we wszystkich krajach i we wszystkich miastach od Paryża począwszy a na Kłaju skończywszy. Ulicami XX wieku spacerują same Grety i Marleny lub też Lollobrigidy i Bardotki, zalecnie od kaprysów X-ej Muzy. Dziś moda zmienia się błyskawicznie. Co kilka miesięcy na firmament kinematografii rozbłyskuje coraz to nowe gwiazdy, lansując nowe fryzury, nowe maquillage, nowe sylwetki, nowe stroje. Ale wpływ gwiazd filmowych nie ogranicza się tylko do akcesoriów zewnętrznych kobiety. Sugeruje mentalność, sposób zachowania, styl miłości.

Lata trzydzieste pozostały pod wyraźnym urokiem kobiety fatalnej, tajemniczej, nieuchwytniej, niecałej tragedii i klęski, przynoszącej zgubę swym partnerom. Najpełniejszym wcieleniem ekranowej „femme fatale” pozostały niewątpliwie Marlena Dietrich i Greta Garbo. Z postawą kobiety fatalnej wiąże się m. in. pojęcie modne wówczas we wszelkiego rodzaju dramatach tzw. amour impossible czyli miłości niemożliwej, tragicznej, miłości zakazanej. Nieco później zwłaszcza w Ameryce przyszła moda na kobietę — kumpła, kobietę przyjaciółkę mężczyzny, inteligentną, dowcipną, czarującą ale bez sex-appealu. Reprezentowały ją z ogromnym wdziękiem tej klasy aktorki co Claudette Colbert, Greer Garson, Irene Dunne.

Era atomu i wzmożonych zbrojeń pociąga za sobą wielokrotnie agresywności filmu. Nadchodzi czas sex-bomb, atomowych wdzięków, panowania biustów i sex-appealu. Czas Rity Hayworth, a potem Jayne Mansfield, Sabrina, Marilyn Monroe, i inn. Powojenna Europa przez długi czas była terenem silnej ekspansji „włoszczyzny” we wszelkich jej odmianach, terenem inwazji dziewcząt z placu Hiszpańskiego i z San Frediano. Wszystkie szanujące się podlotki dokładały wielu starań by wyglądać możliwie „neorealistycznie” i nieporządnie. I znów powiały inne wiatry. Podlotki, i co gorsza nie tylko podlotki, noszą się teraz tylko jak Pascale Petit lub Brigitte Bardot. Zławsza ta ostatnia dała się mocno we znaki kobieciej modzie.

Dzisiejsze gwiazdy filmowe różnią się znacznie o przedwojennych i to po wieloma względami. Ew-

luja jaką tu można zauważyć jest bardzo zmienna dla gustów, poglądów i stylu życia naszej epoki. Ewolucja ta stała się zmienna również dla coraz głębszej i autentycznej emancypacji kobiety, która coraz bardziej wyzwala się z narzuconych jej przez konwenanse i literaturę wzorów i kanonów. Ewolucja kobiety na ekranie prowadzi do stylizacji i sztucznych konwencji, do realizmu i życiowej prawdy. B.B. bliższa jest, wbrew pozorom dziesiątkom tysięcy dziewcząt rozsiadanych w różnych częściach globu niż była nią ongiś Greta Garbo lub Marlena Dietrich.

Gwiazda lat 30-tych była przede wszystkim kobietą dojrzałą, „trzydziestoletnią”, kobietą mądrą. Często swymi wartościami wewnętrznymi przewyższała partnera. Jej miłość albo podnosiła mężczyznę, albo stracała go na dno („Wielka gra”, „Pepe le moko”). Była mitem, mitem zła albo dobra. W każdej sytuacji symbolizowała wieczną nieśmiertelną kobiecość. Taką była boska Greta, Marlena Dietrich, Michele Morgan, Maria Casares, Mireille Balin i inne. Ten typ kobiety niosący ze sobą wspomnienie „amour impossible”, zdradzał wyraźne piętno literatury romantycznej i postromantycznej. Swe najpełniejsze ucieleśnienie znalazł on w filmach francuskiej szkoły tzw. czarnego realizmu lub realizmu poetyckiego, pozostającej pod wpływem teź literatury, ale nieco innego rodzaju, z powieści wiktoriańskiej i bulwarowych komedii wywodził się

typ naiwnego choć nieznośnego dziewczęcia, platającego wprowadzić złośliwe figle, ale cnotliwego i przykładnego (Danielle Darrieux, Deanna Durbin). Ponadto istniał jeszcze popularny, zwłaszcza w filmie francuskim typ córki Koryntu, stylizowanej zresztą także na modłę brukowej literatury (Viviane Romance, Ginette Leclerc).

Dzisiejsze gwiazdy, mimo przelotnych wpływów egzystencjalizmu, trzymają się jak najdalej od wszelkich kanonów literackich, od wszelkiej sztucznej stylizacji. Cechuje je naturalność i żywiołowość doprowadzona czasem aż do przesady. Wynika to przede wszystkim z ogromnego obniżenia się granicy wieku angażowanych aktorek. Na ekranach lat 50-tych i początku 60-tych zapanował niepodzielnie styl młodzieżowy. Młodzież jaką oglądamy w filmach, mimo iż należy do dość specyficznych i snobistycznych środowisk, reprezentuje w gruncie rzeczy tendencje wspólne całej współczesnej młodzieży. Ten deniec te raz ujawnione i utrwalone na celuloidowej taśmie zyskują jeszcze większą moc oddziaływania. „Młodzieżowość” dzisiejszych gwiazd nie ma nic wspólnego z młodzieńczością, której niewygasłe iskrinki tlą się jeszcze w takich aktoreczkach jak Dany Robin lub Leslie



DANY ROBIN

Caron. „Młodzieżowość” nie wyklucza sporego doświadczenia życiowego lub przynajmniej zachowania osoby doświadczonej („Nieвинni czarodzieje”). Współczesna młodzież nie grzeszy jak wiadomo nadmiarem intelektu, toteż dzisiejsze gwiazdy nie żywią zbyt wysokich aspiracji jeśli chodzi o inteligencję. Ich zasób wiedzy w dużej mierze sprowadza się do znajomości marek samochodów i muzyki jazzowej.

Miłość traktują trochę jak sport a trochę jak hazard. Ich stroje i fryzury są nieskomplikowane, tanie i łatwe do naśladowania. Dzięki tym wszystkim cechom gwiazdy filmowe bardziej niż kiedykolwiek służą obecnie jako model i wzór „modnej” kobiety. Model trzeba to przyznać, dosyć tani i standardowy.

(D. C. ZA 2 TYGODNIE)

Opr. M. K.

MARIA KORNATOWSKA

„MŁODE LWY”



„Młode lwy” E. Dmytryka są filmem, który zmusza nas do refleksji natury poartystycznej, refleksji szczególnie przykrych dla nas Polaków. Ludzie wychodzą z kina, pełni oburzenia. Tak można robić filmy o ostatniej wojnie tylko w kraju, w którym obozy koncentracyjne i zbrodnie hitlerowskie należą do rzędu niewiarygodnych bajek o złym, żelaznym wilku. Bajki mają to do siebie, że łatwo je zastąpić drugimi. Na przykład bajkę o żelaznym wilku nietrudno

zastąpić bajką o szlachetnym, pięknym złotym bożku wojny, marzącym o szczęściu dla zjednoczonej Europy, i oszukany przez bliżej nieokreślonych złych czarodziei.

Przeniesienie na ekran bestselleru I. Shawa nie było sprawą najprostszą. Trzeba przyznać, że scenarzysta Anhalt wywiązał się z tego zadania zrećnie i pomysłowo. Wyrzucił z filmu wszystko co stanowiło o wartości powieści, cały jej okrutny i męski sens, pozostawiając bezbarwną mieszaninę we-

sternu i taniego melodramatu. Reżyser, zgodnie z regułą gry, okraślił tę wątpliwą gryznię mieszaninę dwoma popisowymi numerami (ofensywa aliancka w Afryce i ucieczka na motocyklu) oraz dwiema scenami makabrycznymi (obóz koncentracyjny i wymordowanie angielskiego patrolu).

Nie można mieć oczywiście pretensji do scenarzysty za dokonanie zasadniczych cięć na tekście powieści, za opuszczenie i zburzenie pewnych wątków, za skomasowanie niektórych postaci (np. Margaret łączy w sobie wszystkie bogdanki Michaela, a Michael wszystkich przyjaciół Noego). Analiza filmu nasuwa jednak wniosek iż zmiany i skróty jakie poczyniono są absolutnie jałoznacne i jednokierunkowe. Prowadzą one do złagodzenia i zatarcia konfliktów Shawa, a co za tym idzie do sfalszowania idei powieści.

Głównym bohaterem książki był Noe Askerman i miało to swój głęboki sens

ów sens, który Shaw stara się znaleźć wraz ze swymi postaciami w chaosie i bezsensie zawieruchy wojennej. W filmie bohaterem jest Christian Diestl, który dzięki odpowiednim zabiegom realizatorów stał się symbolem walecznych nordyckich rycerzy. Ponieważ szarża sierzanta nie cieszy się najlepszą opinią, zrobiono Christiana porucznikiem (zawsze to brzmi romantycznie). Pod koniec awansował nawet na kapitana na dowód swego męstwa i bohaterskich czynów. Nawiasem mówiąc dwaj Amerykanie bez uszczerbku dla sławy armii USA wytrwali do końca jako szeregowcy.

Pozytywnemu bohaterowi nie wystarczają gwiazdki

(Dokończenie na str. 4)

odpowiedź str. 3



DANY SAVAL



rozmowy ze SCENARZYSTAMI

AUTORA „POKOŁENIA” I OSTATNIO WYDANEGO TOMU OPOWIADŃ „MAKATKA Z JELENIEM” — ZASTAJE WIECZOREM W DOMU. PISARZ ZABIERA SIĘ AKURAT DO PRACY. DLACZEGO WIECZOREM? OTÓŻ JEDNI PISZA WCZESNIE Z RANA, INNI W POŁUDNIE, BOHDAN CZESZKO PISZE WIECZOREM I NOCĄ. TWIERDZI, ŻE O TEJ PORZE PRACUJE MU SIĘ NAJLEPIEJ. CZESZKO JEST PISARZEM, A TAKŻE SCENARZYSTĄ FILMOWYM.

— Jaki jest Pana pogląd na tak szeroko dyskutowaną rolę scenarzysty w tworzeniu dzieła filmowego?

— Scenariusz nie jest utworem autonomicznym, nie jest dziełem literackim i nie należy go pojmować jako gatunku literackiego. Jest po prostu tylko utworem napisanym dla potrzeb filmu, i żyje wtedy, jeżeli żyje cały film. Ze scenariusza można zrobić lepsze lub gorsze dzieło filmowe. Aby stał się dobrym dziełem filmowym potrzebna jest rzetelna współpraca scenarzysty i reżysera. Cyniczny, jakże jeszcze często spotykany, stosunek reżysera do pisarza i na odwrót, nie sprzyja stworzeniu atmosfery wzajemnego zaufania. Nie zgadzam się z lansowaną przez niektórych pisarzy propozycją, „dajcie nam kamerę do ręki, a my zrobimy bardzo dobry film”. Autorzy tych propozycji powołują się przy tym na film „Konwiktów”. Ostatni dzień lata”. Osobiście nie neguję osiągnięcia Konwiktów jako twórcy tego filmu, trzeba jednak zaznaczyć, że realizując ten film Konwikt miał do czynienia z bardzo prostymi środkami filmowymi — jeden mały plener, dwoje aktorów. Miał wreszcie do pomocy fachowca nie był jakiejś klasy — bo operatora Jana Łaskowskiego. Moim zdaniem realizowanie filmów przez pisarzy bez przygotowania filmowego jest propozycją nieszczytną, niemożliwą przy dzisiejszej akomplikowanej technice produkcji filmowej.

— Czy istnieje tzw. filmowość lub afilmowość dzieła literackiego i jaki według Pana winien być stopień zachowania wierności adaptacji filmowej w stosunku do pierwowzoru literackiego?

— Nie ma w żadnym dziele literackim problemu filmowości, lub afilmowości. Nie istnieją takie powieści lub

opowiadania, których nie można by przetłumaczyć na język filmowy. Adaptacja filmowa nie musi być wierna oryginałowi. Powinno raczej wysłuchiwać tutaj zjawisko podobne jakiego spotykamy na przykład w dobrym tłumaczeniu z jednego języka na inny.

— Co Pan sądzi o filmowej adaptacji „Matki Joanny od Aniołów”?

— Uważam, że błędem tej adaptacji jest wysunięcie na plan pierwszy przez reżysera Kowalewicza sprawy erotyzmu, łaskawicz w swoim opowiadaniu ukazał postać księdza Suryna w sposób bardziej subtelny. Temat filmu był moim zdaniem trochę za bardzo „przenoszony”. Od długiego czasu Kowalewicz nosił się z zamiarem realizacji „Matki Joanny od Aniołów”. Przez to długie obcowanie reżysera z tematem film został „wycelebrowany”. Niedługo jest scena opętania zakonnice w kościele, za bardzo baletowa, wymyślna.

— Dużo pisze się przy różnych okazjach o istnieniu tzw. polskiej szkoły filmowej. Jaka jest Pana opinia?

— Pojęcie „polska szkoła filmowa” jest mitem. Nie istnieje żadna „polska szkoła” poza uczelnia filmowa na Targowej w Łodzi. Pojęcie „szkoły” ukuto chyba na podstawie podobieństwa formy, poetyki kilku naszych filmów pokazanych za granicą. Stamtąd też przyszedł ten termin. U nas zaś wykorzystano go dla różnych taktycznych rozgrywek.

— Czy Pan sam dokonał ostatecznej adaptacji „Pokołenia” i jakie inne adaptacje dla filmu i jak praca Pana jako scenarzysty wpływa na Pańską twórczość literacką?

— Nie stworzyłem żadnej adaptacji oprócz wymienionego przez pana „Pokołenia”. Nigdy też chyba już nie będę adaptował dzieła literackiego. Chcę pisać dla filmu wyłącznie



Władysław Kowalski w roli Olka w filmie W. Hasy — „Rozstanie”

„ROZSTANIE”

Nowy film Wojciecha Hasy posiada jakiś wspólny i charakterystyczny dla poprzednich filmów tego reżysera — klimat. „Rozstanie” kontynuuje artystyczne upodobania twórcy „Petli”, „Pożegnania” i „Wspólnego pokoju” — kameralnych filmów psychologiczno-obywatelskich.

Has dał podtytuł swemu nowemu filmowi — komedia sentymentalna i chyba jest

w tym dużo słuszności. Nowe dzieło Hasy jest komedią w najszerszym tego słowa znaczeniu, gdzie jest także ów uśmiech pełen zadumy, refleksji nad ludzkimi losami, nad przemijaniem uczuć. Jest w „Rozstaniu” wiele liryzmu budzącego się uczucia, jest też tragizm jego kruchości i zanikania.

Do małego miasteczka przyjeżdża na pogrzeb dziad-

ka Magdalena — aktorka, kobieta samotna. Spotyka młodszego od siebie chłopaka, odbywającego praktykę wakacyjną w pobliskiej fabryce. Chłopak jest inny od jej zasuszonych arystokratycznych krewnych: mecenas Renerta i Zbika ze swoją mamą eks-hrabinią. Ofek reprezentuje świat bezpretensjonalny, prosty i szczerzy w odruchach.

scenariusze oryginalne. Scenariusz filmowy pisze się zupełnie inaczej niż utwór powieściowy czy opowiadanie. W przeciwieństwie do pisania prozy literackiej jest się ograniczony czasem trwania przysługującego filmu.

— Z których reżyserem najlepiej się Panu współpracuje? — Przede wszystkim z Wojciechem Hasem, który realizuje obecnie nowy swój film według mojego scenariusza. Roboczy tytuł tego filmu brzmi: „Złoto”. Tematyka jest obywatelska, akcja dzieje się w Turzowie. Mnie wspominał także swoją współpracę z Andrzejem Wajdą przy realizacji „Pokołenia”. Piszę w tej chwili nowy sce-

narjusz o sensacyjnej fabule dla zespołu „Studio” — tytuł: „Żelazna porcja”.

— Co pan powie na temat głoszonego mity o wielkich zarobkach scenarzystów?

— Otóż wszystkim „wórcom” tego pojęcia gwarantuję, że nawet za dwa scenariusze które pisałem w ciągu roku nie kupiliby samochodu.

— Pańska obecna lektura? — „Pod gołym niebem” — Marika Twaina. Wszystkim, którzy cenią sobie w literaturze pogodny i serdeczny stosunek do życia, gorąco tę książkę polecam.

Rozmawiał:

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

EWA NURCZYŃSKA

„Reszta jest milczeniem”

Do wielu scenicznych prób interpretacji „Hamleta”, do kilku istniejących adaptacji filmowych, doszła jeszcze jedna — film H. Käutnera pod wymownym tytułem „Reszta jest milczeniem”.

Reżyser dokonał dość młodego ostatnio aktu współ-

Magdalena — trzydziestoletnia kobieta przeżywa swoją samotność i ułotne zbliżenie z młodym człowiekiem. Film zawiera wiele podtekstów, każda z postaci żyje, reprezentuje swój czasami bardzo zamknięty i anachroniczny świat. Has nie reżuuje, nie potępia, ale obserwuje i zmusza do zastanowienia, do refleksji.

„Rozstanie” jest adaptacją noweli pod tym samym tytułem napisanej przez Jadwigę Żylińską, która dokonała także adaptacji filmowej, pisząc scenariusz. Film stanowi przykład harmonijnej współpracy scenarzysty i reżysera.

W „Rozstaniach” nastąpił powrót na ekran Lidii Wysockiej, jak najbardziej cenny dla naszej kinematografii. Dobrze się stało, że talent aktorski Wysockiej możemy podziwiać nie tylko podczas występów „Wagabundy”, ale również na ekranie. Również debiut młodego aktora Teatru Wybrzeża — Władysława Kowalskiego okazał się bardzo udany. Aktor ten obok świetnych warunków zewnętrznych reprezentuje bogaty zasób aktorskich środków wyrazu.

W „Rozstaniu” spotykamy aktorów, którzy stanowią zawsze trzon zespołu aktorskiego niemal wszystkich filmów Hasy, a mianowicie: Gustawa Holoubka jako anachronicznego mecenas Renerta, Irenę Netto jako gospodynię oraz Adama Pawlikowskiego w roli Zbika. W epizodach zagrali również: Zbigniew Cybulski i Bogumił Kobiela.

A. N.

„MŁODE LWY”

(Dokończenie ze str. 3)

porucznika. Musi być uwielbiany przez kobiety. I znów wątek romantyczny. Diestla zajmuje w filmie najwięcej miejsca. Niesmaczny, ale jakże charakterystyczny dla Christiana romans z Gretchen podany został w filmie w sposób subtelny dostarczając sposobności ukazania głębokiego moralnego niemieckiego oficera. Klasycznym już chwytłem angażującym sympatię widza jest aranżowanie miłości dwojga wrogów, dające asumpt konfliktowi uczuciowo-obywatelski. Oczywiście, aby zadośćuczynić poczuciu moralności obowiązek musi zwyciężyć. Realizatorzy nie zaoferowali nam i tego, odchodząc daleko od powieści Shawa. Dziesiątki drobnych szczegółów — spotkanie z kalekim chłopcem (wrażliwość), odmowa zastrzelenia rannego Anglika (odwaga i rycerskość) are-

szowanie młodego Francuza, reakcja na krzyk torturowanego, wreszcie scena w obozie i paletyczne roztrząsanie broni (zrozumienie tragicznej pomyłki), świadczyć mają o tysiącach let Christiana i zaskarbić mu sympatię i aprobatę widza. Zresztą sam wybór aktora (Marlon Brando) o fascynującym wyglądem zewnętrznym, eksponowanie przy pomocy specjalnych ustawień kamery i oświetlenia szlachetnego piękna jego postaci i rysów, heroizowanie jego sylwetki zawsze nienagannej i wytwornej w przeciwieństwie do nieporządnych Amerykanów, specyficzna maniera gry Brando — wszystko to prowadzi do tego samego celu — do urzeczenia i przekonania widza.

W tej sytuacji niepotrzebna śmierć Christiana urasta do rangi wielkiej tragedii ludzi uczciwych i oszukanych przez historię lub coś równie nieokreślonego. Śmierć ta dziwnie przypomina śmierć Maćka z „Popiołu i Diamentu” — również oflary własnej i cudzej pomyłki. „Śmierć na śmietniku historii”, budząca w odbiorcy żal i współczucie. Zginął prawdziwy bohater a dwa trochę narwani faccy wrócą sobie spokojnie do domu. Takie jest życie, taka jest wojna.

Powieściowy Christian jest typowym okazem niemieckiego żołdaka, który szybko pozbywa się pięknych złudzeń i szlachetnych odruchów. W obliczu klęski sta

je się prawdziwy łajdak, gotowym ratować swe życie nie tylko za cenę honoru ale za cenę życia innych. Uważa, że błąd Niemców polegał na zachowaniu jeszcze pewnych zasad i uczuć. I obiecuje w przyszłości naprawić ten błąd. W postaci Christiana, Shaw świetnie ukazał mechanizm działania hitlerowskiego systemu, czyniącego z pozornie porządnymi ludźmi zdolnych do wszystkiego zbrodniarzy. Jego śmierć to nie tylko akt sprawiedliwości, to także akt obrony. Obrony przez przyszłą władzę Diestlów i Hardenburgów „wzbożonych” o doświadczenia minionej wojny. Nawet ten ostatni został zresztą w filmie zresztą wybielony i dzięki właściwemu dobranym dialogom oczyszczony z szadymu i bezwzględności (uzasadnienie konieczności wymordowania patrolu angielskiego).

Na tle tych bohaterów wojenników dzielnej armii Hitlera dość błado wypadają postacie samych Amerykanów. Zarówno Noe jak i Michael zostali niestety nie spłyceni i zubożeni. Michael, interesujący przykład klasycznego, pełnego wahań i kompleksów inteligenta, w filmie stał się trochę komijnym, trochę cynicznym tchórzem, któremu dla ratowania pozorów scenarzysta każe najpierw jechać do Normandii, a potem rzucić się do wody, w sukurs przy jacielowi. Wątek Michaela został po prostu odfajkowany. Ewolucja i los Noego wyraża u Shawa pozytywny sens wojny, która toczy się

właśnie w obronie życia i godności setek tysięcy Amerykanów. W filmie tragiczna droga biednego żydowskiego chłopca do pełnowartościowego człowieczeństwa pokazana została w sposób zdawkowy i banalny. Zrezygnowano z zaskakująco złośliwego i złośliwego wstyku ostrzejszych konfliktów pozwalających przypuszczać iż w demokratycznej Ameryce szaleje antysemityzm. I tu wkraczamy na drugą płaszczyznę filmu — płaszczyznę lakierowania amerykańskiej rzeczywistości wbrew społecznej wymowie (nie najdramatyczniejszej zresztą) książki Shawa. A więc ku zadowoleniu wszystkich patriotów i demokratów, kapitan Coleough stanie przed sądem wojennym za znęcanie się nad Żydem. Konflikt Noego z drużyną przyjmie obrót godny powieści dla dorastających panienek. Zły kapitan Coleough nie straci w Normandii trzech czwartych swojej kompanii. Nie dowiemy się nic o korupcji i bezduchości demokratycznego wojska. Honor US Army zostanie ocalony.

Najbardziej pasjonującą stroną powieści Shawa jest sam opis wojny, beznamiennej machiny siejącej śmierć i kalectwo, upodlającej człowieka. Wojny zadającej klam frazesom i wzniosłym hasłom, wojny nie mającej nic wspólnego z bohaterstwem i patosem, tonącej w brudzie i krwi, w strachu i głodzie. Podobny obraz wojny odsłonił świetny fiński film „Zolnierze” Lanne. Dmytryk o-

graniczył się do możliwie najbardziej schematycznego pokazania wojny, oddając swój film mocą już oklepaną sceną fajerwerkowego ataku artylerii i lotnictwa. „Młode lwy” nie są więc filmem o straszliwej machinie wojaka i wojny. Nie są też dramatem psychologicznym, dramatem postaw ludzkich w obliczu wojny i śmierci. „Młode lwy” nie stały się też wbrew pozorom filmem politycznym, w głębszym rozumieniu tego pojęcia. Parafrazując Francuza rzecz można iż jeśli chodzi o zaplecze intelektualne film Dmytryka zdradza ubóstwo niemal ewangeliczne. Cały wysiłek twórców zmierza do wykazania iż armia niemiecka była armią waleczną i bez skazy, że za zbrodnie Niemców odpowiedzialne są jakieś bliżej nieznane siły mieszkające przypadkowo w Berlinie i że przyczyną zwycięstwa hitlerizmu był brak pieniędzy i trudności w dostaniu się na wyższą uczelnię. Trzeba zatem wszystkim Diestlom dać dużo, amerykańskich dolarów, a wtedy będą oni strzec pokoju i demokracji. Tę bujającą tezę wyłożono w filmie zrobionym poprawnie i banalnie zarazem, bez wad i bez specjalnego talentu. Film Dmytryka jest jednak na tyle dobry by być niebezpiecznym, niebezpiecznym ponieważ trafia do tych, którzy nigdy nie mieli szczęścia oglądać na swej ziemi pięknych i dzielnych Christianów Diestlów.

MARIA KORNATOWSKA

ceśnienia fabuły Hamleta — przeniosł akcję do dzisiejszych Niemiec zachodnich. W mieszkaniach tego kraju wcielił postacie dramatu. Hamlet (Kriger) stał się młodym docentem, synem wojennego potentata przemysłu zbrojeniowego, który żyje właściwie w Ameryce, a przybywa do Niemiec, aby poznać i pomścić tajemniczą śmierć ojca — (tu elektawostka dla bardziej żądnych emocji czytelników — duch ojca skłania do zemsty młodego Johna Claudiusa telefonicznie! autentyczne, choć reżyser stara się trochę tłumaczyć to zdarzenie nerwowością bohatera). Stryk Claudius (P. van Eyck) zamordował swego brata sam stając na czele obrzeczonych zakładów. Zastrzeżona przez brata w testamentie zależność od młodego Johna, wreszcie poczucie tego ostatniego o celu wyjaśnienia zagadkowej śmierci ojca, skłaniają Claudiusa do próby pozbycia się Johna — Hamleta. Wszystkie dalej jak w „Hamlecie” — tym, że im dalej idzie reżyser w głąb zdarzeń, tym częściej balansuje na granicach banału i smutku. Opanował się dopiero na końcu filmu, gdzie zdał sobie sprawę, że w ramach przyjętego pomysłu i konwencji śmierć wszystkich bohaterów byłaby nie do zniesienia. Pozwolił zatem jedynie na śmierć von Pohla (Poloniusza), schizofrenię Fei i zastrzelenie przez Gertrudę Claudiusa.

Drobne próby ukazania moralnego oblicza współczesnych Niemiec nie udało się zupełnie, a jak w większości filmów NFF znalazł się moment jakiejś rehabilitacji pewnych członków społeczeństwa z czasów hitlerizmu — ojciec Johna nie był złym człowiekiem, nie chciał produkować w swych fabrykach broni — zmusiło go państwo i skłonił brat. Obaj bracia zginęli — jeden niesprawiedliwie (toteż John Claudius go pomści), drugi w imię sprawiedliwości, ukarany za niecne życie i charakter.

Całości bazującej na było nie było sensacyjnej fabule zabrakło choćby cząstki podtekstu — szekspirowskiego „Hamleta”, o którego interpretację idą boje przez wieki. Film nie wybrał żadnej stał się jedynie bardzo naiwnym współczesnym fabułą, a nie problemem.

PIERWSZE SPOTKANIE

To nie była zwykła scy-sja. Żywo zazwyczaj bio-racy udział w „pyskówkach” pasażerowie tym razem nie wtrącaли się do wymiany zdań między konduktorem i młodą dziewczyną. Widocznie nie, zupełnie nie nie wiedzieli na sporny temat. Chodziło o drobniak: uczen-nica z tarcz Zasadniczej Szkoły Włókienniczej na ra-mieniu podawała do przecięcia miast ulgowego pracowni-czy bilet tramwajowy. Okazało się, że nie ma żadnej legitymacji i dysponuje tyl-ko zaświadczeniem wyda-nym przez zakład pracy. Konduktor zaabsorbowany no-wą falą pasażerów skaso-wał w końcu przejazd, nie-przekonywał jednak o praw-domości dziewczyny.

— To jeszcze nie — mówi-ła później bohaterka zdarze-nia. — Czasem każda płaci 50 gr albo zabiora bilet i trzeba wyjaśniać, odbierać. W kinie też żądają legity-macji, nie chcą wpuścić. A my ich nie mamy, nie mie-liśmy i chyba nie ozię-miemy mieli. Chodźmy do szko-ły, musimy nosić tarcze, fartuch, jesteśmy uczniami. Tylko o legitymację nie mo-żemy się doprosić.

Postanowiłem rzec spraw-dzić i stąd zerknąłem się z instytucją zwaną Zasadni-czymi Szkołami Włókienni-czymi lub szkołami przyza-kładowymi.

Mówi ob. Bobrzak — kie-rownicza sekcji szkolenia zawodowego w ZPB im. Dzierżyńskiego:

— Tak jest w istocie. Ten problem kosztuje zakłady grube tysiące, które trzeba zwrócić dojeżdżającym spo-za Łodzi, bowiem ulgi ko-lejowe im nie przysługują. Ale chociaż Ministerstwo Oświaty i Ministerstwo Prze-mysłu Lekkiego walczą o to od dawna, Ministerstwo Komunikacji nie chce się zgodzić. Nie chce, bo twier-dzi, że to nie uczniowie lecz robotnicy.

Być może, Ministerstwo Komunikacji ma rację, może zakłady pracy powinny po-krzywać koszty dojazdów. Ale legitymacje, nawet nie zapewniające ulg a tylko sankcjonujące prawnie uc-zniów szkół przyzakłado-wych powinny być wydane, i to jak najszybciej. Co poddaje pod rozwagę odpo-wiednim czynnikom a zwłaszcza kuratorium, które w tej sprawie zachowuje się raczej biernie.

NIECO HISTORII I WIADOMOŚCI

Wspominałem powyżej, że sprawą legitymacji zajęły się dwa ministerstwa. Wy-nika to z istoty szkół tego typu. Otóż powstały one zaledwie dwa lata temu, ma-jąc za zadanie — jak mówi pani inżynier Janiak, kie-rownicza takiej szkoły przy ZPB im. Marchlewskie-go — przygotować do za-wodu młodzież, która ukoń-czyła szkołę podstawową kładąc jednocześnie nacisk

na poprawę wykształcenia ogólnego. Realizuje się to w ten sposób, że trzy dni tygodniowo odbywa się na-uka teoretyczna obejmują-ca: matematykę, fizykę, ję-zyk polski, rysunek tech-niczny, technologię i tym podobne, a przez pozostałe dni praktyczna nauka zawo-du (6 godzin dziennie) bez-pośrednio w hali produk-cyjnej. Nauka trwa dwa lata, a szkoła przygotowuje kwalifikowanych tkaczy i przedzakładowców (ZPB im. Dzierżyńskiego wyjątkowo również wykończalnych). W pierwszym roku uczenio-wie otrzymują 260, a w dru-gim 380 zł miesięcznie. Po ukończeniu szkoły mogą iść do pracy lub do drugiej kla-sy technikum.

Sama idea stworzenia szkół przygotowujących wy-kwalifikowanych robotni-ków, i to robotników o wyż-szym niż dotychczas pozio-

JERZY DĘBSKI

Uczeń czy robotnik?

mie wykształcenia, jest na-pewno bardzo szczęśliwa. Nie trzeba zapominać, że ok. 50 proc. robotników poniżej 40 lat nie posiada ukończo-nej szkoły podstawowej. Stan ten niewątpliwie odbi-ja się na produkcji, obniża ambicje życiowe tysięcy ro-botników, zmniejsza zakres ich potrzeb kulturalnych.

NAUKA I PRACA

Dlaczego wybrałście ta-ką właśnie szkołę — pytam uczniów. Jak do niej trafił-ście?

— Teraz, jak się ma tylko 7 klas, to można być naj-wyżej gońcem. Do innej pra-cy nie przyjmą. — Odpo-wiedzieli.

Odpowiedź druga. Nie wszyscy nadają się do li-ceum czy technikum. Zresz-ta szkoła daje szybko za-wód i to popłatny.

Te dwie wypowiedzi wy-jasniają natłok kandydatów do zasadniczych szkół włókienniczych. Przy takiej li-czebności naturalnym zjawiskiem jest ogromna róż-norodność uczniów. Obok traktujących szkołę serio, o-bok młodzieży spokojnej, spotykamy tu, i to częściej niż w innych szkołach, ob-lików, łobuziaków. Najsku-teczniejszym dotąd środkiem wychowawczym stosowanym tutaj jest bicie po kleszeni. Opuszczasz zajęcia, waga-rujesz lub „migasz się” — zarobisz mniej. Jest to nie-wątpliwie bardzo dośrode-zatwienie sprawy i mło-dzież skarżyła mi się na te potępienia. Nie rozumiem jednak dlaczego zrezygnowa-no z podobnych sankcji w

wypadku niedostatecznych postępów w nauce? A ta-kich, którzy szkołę traktu-ją jako zło konieczne jest dużo. Poobija się jeden z drugim w zakładzie pracy, wynudzi się w szkole a zaw-sze pieniądze dostanie. Na papierosy i kino wystarczy — może się tak „uczyć” 5—6 lat.

Szkoły przyzakładowe istnie-ja dopiero dwa lata, więc tych wiecznych uczniów jesz-cze nie ma, ale należy taką mo-żliwość przewidzieć i po-myśleć o środkach zarad-czych. Tym bardziej, kandy-datów do nauki można szaco-wać na 30 tysięcy. Plan z roku 1960 przewidywał ob-jęcie dokształcaniem 12 ty-sięcy młodych ludzi, uczy- się zaś niecałe 6. Cyfry te pokazują, że nasza łódzka oświata robotnicza, czy przy zakładowa wyraźnie kuleje. Radni przyszłej kadencji, zwłaszcza zaś radni z fa-bryk, muszą się lepiej popi-sać.

Wspominałem kilkakrotnie

Dawniej uczniowie mieli się uczyć bezpośrednio u tkacza czy przadki, którzy za-jęli normalną pracę często swą rolę ograniczali do ro-bienia wyrzutów. Obecnie oddelegowano specjalnych ludzi do pracy wyłącznie z uczniami. Wyniki próby są podobno dobre — lepszy nadzór, więcej korzyści z nauki. Poza tym odizolowa-ło to częściowo młodzież od „wiązanek”, które podobno ułatwiają porozumienie wśród huku maszyn, a któ-re często były kierowane i do uczniów. Eksperyment ten pozwolił mi zająć się sprawami, które najczęściej były poruszane w rozmó-wach z uczniami:

— Dlaczego śniadania mu-simy jeść w hali produkcyj-nej gdzie jest gorąco, kurz i hałas? Dlaczego nam tak mało płacą? Moglibyśmy tro-chę pracować samodzielnie, na własne konto jak robot-nicy — na akord.

SPRAWY DO ZALATWIENIA

Wspominałem już o uc-zniach dojeżdżających do Ło-dzi. Są tacy, którzy dojeżdżają aż z Piotrkowa. ZPB im. Marchlewskiego dyspo-nuje szkołą tylko po połud-niu, a praca trwa w inne dni rano, stąd na przykład uczeń kończy lekcje o 21, a pracę zaczyna następnego dnia o siódmej. W ciągu 10 godzin musi dwukrotnie przebyć trasę, na przykład, Łódź—Ozorków. We wszy-stkich szkołach przyzakłado-wych w Łodzi znajduje się chyba tylu dojeżdżających, że trzeba dla nich pomyśleć o jakimś internacie. Podob-no będzie. Nic konkretnego się o tym nie dowiedziałem, ale mam nadzieję, że to nie plotki.

A sprawa wakacji? Na ogół uczniowie mieli jeden miesiąc płatnego urlopu, a w ZPB im. Dzierżyńskiego dodatkowo miesiąc bezpłat-nego, i ta koncepcja wydaje mi się warta wprowadzenia we wszystkich szkołach.

WNIOSKI

Przed wszystkim muszę wyjaśnić tytuł. Otóż wy-da-je się, że wszystkie nieporozumienia i trudności wynikają z niezdeterminowa-nia czy mamy do czynienia z uczniem czy z robotnikiem. Wybór załatwiłby dość dużo, choć może nie wszystkie roz-wiązania podobająby się mło-dzieży. Które jednak mi-nisterstwo ma dokonać wy-boru? Chyba żadne. Jeśli istnieje instytucja do tego powołana to jest nią zakład pracy. I do niego winna na-leżeć decyzja. Decyzja pod-jęta przy zrozumieniu fak-tu, że jeśli to uczeń to jego zakład wychowuje

SWOJEGO robotnika, jeśli zaś robotnik to robotnik wy-magający nieco innego trak-towania niż dorośli. Spra-wa jest warta zachodu — przypominam: chodzi o wy-chowanie nowej generacji ro-botników, robotników o znacznym zasobie wiedzy praktycznej i ogólnej.

— Na każdym kroku wal-czymy o to, by robotnicy nie traktowali uczniów inaczej niż własne dzieci. Trochę już nam się udało załatwić. Mam wrażenie, że sporo zasługi ZMS jest w tym, iż z ZPB im. Marchlewskiego zmieniono (tytułem próby) system nauki praktycznej.

Wiersze młodych

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Nike

W brylce mego pokoju
urósł ten ostry posąg
Nike pędzi w okna
chcąc oderwać mi ręce
i zostawić ciało bez dna



Nóz

On pachnie krwią i śmiercią,
on pachnie chlebem,
on życie przecinał
i dla życia jest pokarmem nieba.



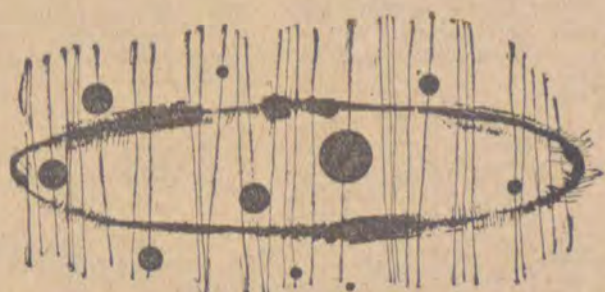
JANUSZ KRÓLIKOWSKI

O słodka w moją pierś zapięta
Ledwo licząca kroki boga
Co wchodził do twej własnej piersi
Pod lotem ptaka umarłego
Plak aż brzemienisty w troski nasze
— Ile jest prawdy w bieli nieba —
Na szczytach długich kolumn światła
Twych oczu w niebo szelest strumy
Spadł w czerwoną maskę Merkurego

Stojąca między mną wysoko
Tak mocno rosnę w twoje ślady
Ze pragnę cię opływać morzem
Sam pogrążony w morzu twoim

W powietrzu upał pięknych grajków
Wyrłł twe imię gitarami

Miedzy strumieniami zaplątana
Siebie rozśiewasz i gromadzisz
Wpięszczona w palce najgoręcej
Ze wszystkich dżbanów upragniona
Jakie dać tobie trzeba imię
Gdy pochylona w krzyk mój gorzki
Próbujesz zmienić twarz na słońce



Muzeum czy pracownia naukowa?

Pytanie to nasunęło mi się po przeczytaniu artykułu S. Kaszyń-skiego „Melpomena fraszobliwa” („Odgłosy” nr 5/193). Rzucając myśl utworzenia w Łodzi Muzeum Teatralnego, ubolewa autor nad faktem, że nikt się tym (m. in. zbieraniem afiszów teatralnych z pierwszych lat po II wojnie światowej) „nigdy nie martwił i nadal nikt sobie tym głowy nie łamie”, a winą za ten stan rzeczy obarcza bibliotekę im. Waryńskiego i Uniwersytecką. Można by do tej grupy „o-skarżonych” zaliczyć jeszcze Archiwum, Szkołę Teatralną, czy Wydział Kultury przy MRN, nie o to mi jednak chodzi i nie ta kwestia decydowała, że po dłu-gim namyśle postanowiłam za-brnąć głębiej.

Sam projekt powołania do ży-cia placówki, która zajęłaby się gromadzeniem wszelkich doku-mentów, dotyczących życia teatralnego Łodzi, jest niezwykle trafny i zasługuje na baczna u-wagę.

Czy jednak miało być do być od razu muzeum? W obecnej sytu-acji takie postawienie kwestii wydaje mi się po prostu niepo-rozumieniem. Przecież my nie posiadamy ani jednego porząd-nego choćby zarysu całej histo-rii naszego teatru! I czy nie na-leżałoby zacząć właśnie od tego? Jasne chyba, że potrzebne jest przede wszystkim jakieś „vade mecum”, które nie pozwoli błąd-zić po manowach literatury (bo i tu są manowce), ani wy-ciągać fałszywych wniosków z

nieścisłych informacji. Dam prosty przykład z „Melpomeny fraszobliwej” o Irze Aldrige — wbrew temu, co pisze p. Kaszyń-ski — nigdy w Łodzi nie wy-stępowała.

Moim zdaniem — nie chodzi o to, aby w pierwszym rzędzie móc się chwalić, ale aby dokła-dnie poznać całą historię teatru łódzkiego. Co z tego, że uka-że się jeszcze praca o Jaraczu, o Adwentowiczu, czy o Schillerze. Obrazu całości z pewnością to jeszcze nie stworzy. Bo nawet w pracach naukowo-badawczych (dotychczas opublikowanych) o-siła, wokół której skupiało się zainteresowanie autora, była zawsze, albo postacią świetnego aktora, przejściowo związanego

z Łodzią (Zelwerowicz), albo wybitne dzieło literackie („Nie-boska”), inscenizowane na de-skach któregoś z naszych teatrów lub przez tutejszy zespół aktor-ski. Natomiast teatr łódzki w swoim rozwoju (czy upadku), ten „przypisany” do naszej, r-zybył wdzięcznej głębi — nigdy nie stanowił istotnego przedmio-tu badań. I dlatego p. Kaszyń-ski „służył sobie na ogromną wdzięczność przyszłego history-ka teatru, porządkując i publi-kując” materiał bibliograficz-ny (recenzje, polerki, dyskusje prasowe), dotyczący repertuaru teatrów łódzkich w latach 1945—1955 („Bibliografia teatru łódzkiego” — „Prace polonistyczne”, seria XIV, XV). Wszyst-ko to jednak dopiero czynność wstępna, ułatwiająca zmontowa-nie tylko krótkiego odcinka ca-łej historii teatru; dziś mamy 1961, a sięgnąć wstecz nale-żałoby do ostatnich kilkunastu lat ubiegłego wieku (gdzie w rachubę wchodziła tylko histo-ria teatru stałego). W sumie więc praca ogromna, wymagają-ca przy tym doskonałej znajo-mości nie tylko swaw łódzkich w najszerszym pojęciu tego sio-

wa, ale i zagadnień teatralnych ogólnopolskich.

Powiedzmy jednak, że opraco-wanie całości byłoby z pewnych względów niemożliwe (choćż od kilku lat chodzą słuchy, że już, już...). A historia jednego teatru? No, im. Jaracza — obec-nie najstarszego? Lubimy bardzo jubileusze, okragłe daty. Proszę bardzo, sygnalizuję: 23. X. 1939 r. minęło 50 lat istnienia tegoż teatru (przy ul. Cegielskiej), o-becnie Jaracza). W roku bieżą-cym, również w październiku, minie tyleż lat od bardzo tra-gicznej dla niego chwili — po-zaru, k- unieruchomil tę sce-nę na cały rok i który już osta-tecznie zalał Zelwerowicza. Wreszcie 5 października 1962 r. możemy obchodzić jubileusz „z opóźnieniem”: 50 lat pracy od-budowanego wreszcie teatru, pracy przerywanej wprawdzie kataklizmami dziełowymi, ale w sumie doprawdy imponującej. I na tym nie pokazujemy dopiero m. in. wybitne jednostki, ich kontakty z Łodzią, odejścia i powroty.

Wracam jednak do zagadnie-nia: muzeum czy pracownia naukowa? Głosuję za pracow-nią, jakąś „filiją” Instytutu z uli-

cy Długiej w Warszawie, pla-cówką, która postawiłaby sobie dwa cele:

1) gromadzenie materiału, tak bieżącego (wiem, że z dokład-nym sprecyzowaniem jej zadań w tym zakresie sprawa będzie trudna, ale nie niemożliwa), jak i wszelkich dokumentów z prze-szłości;

2) wydanie pełnej, rzetelnej, możliwie najbogaciej ilustrowa-nej historii teatru łódzkiego.

Gdzie widziałabym możliwość powołania do życia takiej pla-cówki — o tym innym razem, o ile oczywiście wywiąże się na-ten temat dyskusja; jestem jed-nak pewna, że głos mój w tej sprawie nie jest odosobniony i że artykuł p. Kaszyńskiego wy-wola żywą polemikę wśród czy-telników „Odgłosów”. Doprawdy czas już, aby poważnie zająć się tym problemem.

KRYSTYNA BOBROWSKA
2.4.62, 21. lutego 1962

Migawki z SOFII

(Dalszy ciąg ze str. 1)

miano mi udzielić informacji.

Resztki dawnej świetności — pamiątki po Trakach, Grekach, Rzymie i Bizancjum, rzeźby antyczne, mozaiki i wazy, stele nagrobne i fragmenty dekoracji architektonicznych znaleźć można w przebogatym muzeum archeologicznym.



W epoce brązu kotlinę sofijską zamieszkiwało trackie plemię Serdów. Trakowie byli ludem rolniczym, ale ruchliwym i bitnym, słynęli jako znakomici jeźdźcy i koniuchy, wspomina o tym już Homer. Znali się również na muzyce, wskazuje mityczny Orfeusz miał być Trakiem z gór Rodope. Mieszkali przeważnie po siolach, lecz budowali gdzieś niedaleko grody obronne.

Za czasów rzymskich — Rzymianie zawiądnęli Tracją w 46 roku n. e. — starożytna Serdika była już miastem, jak opisują kronikarze „kwitnącem i przyjemnym”. Upodobał ją sobie cesarz Trajan, a Konstantyn Wielki zamierzał nawet przenieść tam swoją stolicę.

Później jednak przyszły lata chude. Lupili miasto Goce i Hunowie. Atylla zburzył je doszczętnie w roku 447. Dopiero za Justyniana odzyskało się z upadku. W wyludnionej okolicy osiedlili się z kolei Słowianie i z początkiem IX wieku miasto — jako główny ośrodek ludności słowiańskiej — weszło w skład rozrastającego się państwa bułgarskiego. Nazywało się wówczas stosownie — Sredec.

Zgodnie z zapisami tureckich geografów, Sredec był w XIV wieku bogatym centrum handlowym i potężną twierdzą. Szpiegzy wyliczali 27 ufortyfikowanych bram, 1700 baszt i 17 tysięcy strzelnic w murach obronnych. Ołbrzymiej armii sultanskiej nie udało się zdobyć miasta ani szturmem, ani długotrwałym oblężeniem. Padło dopiero w roku 1386 na skutek zdrady.

Odtąd była Sofia siedzibą tureckiego wilajetu. Była

równocześnie duchową stolicą narodu bułgarskiego. Dlatego też po wyzwoleniu została rzeczywistą stolicą kraju.

Przyrosła do dna rozległej kotliny, osłonięta od wiatrów górami. Sofia — gdyby nie była stolicą — mogłaby zostać uzdrowiskiem. Posiada na to wszelkie warunki: łagodny i przyjemny klimat, obfite źródła mineralne. W ogóle natura obdarzyła miasto hojnie. Brakuje wprawdzie rzeki — Iskry wymija Sofię w odległości kilkunastu kilometrów, ale wody jest pod dostatkiem. I to świetnej, górskiej.

Wody nie brakuje i wody się używa. Do picia i do mycia. Toteż nie widuje się pijaków, a ludzie schludni. W lecie szosotkami i mydłem szoruje się nawet jezdnie. Zresztą i w zimie, na drugi dzień po wieczornych, silnych opadach śnieżnych nie widać ni śladu błota.

Za to o zamilowaniu do czystości cudzoziemców Bułgarzy nie mają zbyt wygórowanego mniemania. Łazienka w reprezentacyjnym, przeznaczonym dla zagranicznych turystów, hotelu „Balkan” wyposażona była, owszem, w mnóstwo kurków i stosowne napisy, ale woda ciepła pojawiła się w ciągu dwóch tygodni tylko raz, w samo południe.

Inna rzecz, że o turystów się dba, jak chyba nigdzie w krajach demokracji ludowej. Nie chodzi nawet o dobre drogi i wygodne hotele, chodzi o ułatwienia, które spotkać można na każdym kroku. Wypływa to zapewne ze zrozumienia własnego interesu, ale chyba także z tradycyjnej słowiańskiej gościnności.

Przypomina mi się wprawdzie anegdota, którą słyszałem w Monastyrze Ryckim. Otóż zakonnicy gościli pielgrzymów po królewsku, ale tylko przez trzy dni. Na czwarty dzień, jeśli gość nie eheiał, lub nie mógł opuścić klasztoru, zapędzany był do najcięższych robót gospodarskich. Jednakże było to dawno i... może nieprawdą. Prawdą jest za to, że wyemary doszczętnie niektóre tradycje Wschodu. Próba zapłacenia za szatnię, dania napiwku w lokalu nie leżącym na normalnej trasie turystów zagranicznych wywołuje formalne ostupienie.

Wiele uroku przydaje Sofii wysokogórskie zaplecze. Uznane za park narodowy góry Witosza — masyw po-

teżny i malowniczy, najwyższy szczyt Czerny Wyrch wznosi się na wysokości 2290 metrów — przytykają niemal do granic miasta. Ba, przedmieścia zaczynają już się wdrapywać na zbocza. Po same zresztą wierzchołki dojechać można autobusem, piętnaście kilometrów z centrum, wygodną szosą, którą podciągnęła niedawno młodzież w czynie społecznym. Łatwo sobie wyobrazić, że problem weekendów nie przysparza mieszkańcom kłopotu.

Byłem, tam zima siedzi, tam dżioły potoków i gardła rzek widziałem, pijących z jej gniazda...

Z góry Kopyto (Kopytoto po bułgarsku, a chodzi o podkowę, bo taki ma kształt w przekroju poziomym) widać szeroką panoramę łańcuchów górskich. W słonecznym blasku dalekie, osłonięte szczyty Balkanu dzielnie przypominają znane z japońskich drzeworytów widoki Fudzi-Jamy.

Dolinę Sofii zasnuwa mgła. Podobno w zimie tak zawsze. Winowajcą ma być węgiel brunatny, którego się tu używa na opał, a który daje więcej kopci niż ciepła. Istotnie, w czasie zimowego pobytu zauważyłem, że koszule brudzą się tu jeszcze szybciej niż w Łodzi.

Na Kopycie zbudowano nowoczesny hotelik i restaurację, która, zwłaszcza w dni świąteczne, cieszy się wielkim powodzeniem. Nawet teraz, w lutym, widziałem sporo samochodów z zagranicznymi znakami rejestracyjnymi. Przyczynę, zdaje się, stanowią nie tylko malownicze widoki. W restauracji można przyjąć się smacznie i tanio, lepiej niż w mieście, gdzie z dostawami bywa niekiedy kruchy.

Sofia wydaje się przejeźdnemu miastem młodym i na dorobku. Góreckowy rytm współczesności wyczuwa się tu jeszcze dość słabo i z tego powodu 750 tysięcy mieszkańców przeżywa kompleks prowincji. Dogonić i przegonić w tempie życia wielkomiejskiej stolicy, to pragnienie może nieujawnione otwarcie, ale niemniej wyraźne.

Źródłem nieustannej uciechy dla cudzoziemca może być rytualny obrządek regulacji ruchu. Widząc nadjeżdżający samochód — co nie zdarza się znowu tak często — milicjanci na skrzyżowaniach ulic, chłopcy zazwyczaj rosłe i wesołe, wpadają w



nagły trans. Wypreżeni na baczność, z gracją i namaszczeniem, których mógłby pozazdrościć dyrygent orkiestry symfonicznej, przez pół przynajmniej minuty wykreślają paleczką jakieś niesamowite — esy-floresy, nim dadzą wreszcie wolną drogę. Przechodnie raczej się tym nie przejmują, ale niechby w czymś uchybił kierowca... Grozi mu coś gorszego niż mandat — półgodzinny wykład przepisów jazdy.

Sprawa komplikuje się o zmierzchu. Starym, patriarchalnym jeszcze obyczajem, cała ludność miasta wylega wówczas na ulice. Defiluje się pełną szerokością jezdni i nie ma siły, która potrafiłaby owe fale zawrócić.

Zjawiskiem najbardziej w Bułgarii imponującym jest masowy pęd do nauki. W tym kraju analfabetów nie ma. Naprawdę.

Ustawę o powszechnym nauczaniu podstawowym wprowadzono już w roku 1879, w parę miesięcy po odzyskaniu niepodległości. Od tego czasu wymagania ludności wzrosły. Według danych UNESCO 85% absolwentów szkół podstawowych kontynuuje studia w szkolnictwie średnim. Pod tym względem Bułgaria zajmuje pierwsze miejsce w świecie.

Być może owo pragnienie wiedzy było początkowo reakcją na powszechną ciemnotę przymusowo narzucaną ludowi przez tureckich ciemniaków. Pokazywano mi kiedyś wiejską szkołkę z lat niewoli ukrytą w lesistym górskim parowie. Była to chatka o jednej maleńkiej izdebce. Umieblowanie stanowiły ławy przymocowane do ścian. Środek izby wysypiany był grubą warstwą małego piasku. Dzieci uczyły się kłęcząc na ławach i pisząc na piasku patykami. W razie alarmu zeskakowały i udawały, że się bawią.

Jak u nas w średniowieczu, w Bułgarii, aż do początków XIX wieku nosicielami oświaty były klasztory. Księgi przepisywano ręcznie, bo drukowanie było zabronione. Klasztory prowadziły również walkę o przechowanie narodowej tradycji. Walkę nie tylko z Turkami, także z hierarchią kościelną. Episkopat rekrutował się bowiem z Greków, którzy za wszelką cenę usilowali Bułgarów wynarodowić. Te zasługi własnego duchowieństwa ludność podkreśla z wdzięcznością i dzisiaj, chociaż od wielu lat społeczeństwo zlaicyzowało się niemal zupełnie.

W kraju działa obecnie 21 szkół wyższych kształcących młodzież w ponad stu specjalnościach. Prócz tego wielu Bułgarów studiuje za granicą. Skutek jest taki, że dzisiejsza Bułgaria jest krajem inteligencji, a można zarzykować twierdzenie, że cierpi na jej przerost. I tak, dla przykładu, lekarzy, a nawet specjalistów można znaleźć

w każdej wsi. (Co prawda wsie bułgarskie są duże). Według przeciętnej krajowej jedyn lekarz już w 1957 roku wypadał na 774 osoby. Więcej niż u nas w wielkich miastach.

W rezultacie cała bez wyjątku ludność objęta jest bezpłatnym leczeniem. Ale ubocznym skutkiem tego, tak pozytywnego faktu, są niskie zarobki specjalistów. Zdarzyło mi się spotkać kierowcę turystycznego autokaru, który posiadał dwa ukończone fakultety.

Zdarzyło mi się również spotkać z gronem absolwentów polonistyki, świetnie zresztą władających naszym językiem. Niestety, nie widzieli żadnych szans zatrudnienia w wybranej specjalności. Szykowali się do wyjazdu na zapadłą prowincję, na posady nauczycieli szkół podstawowych.

Od roku 1955, kiedy to byłem poprzednio w Bułgarii, Sofia zmieniła się bardzo i na korzyść. Rzuca się w oczy lepsze zaopatrzenie sklepów, więcej ubranych ludzi, wyrosły nowe i ładne osiedla mieszkaniowe. Buduje się dużo, zdaje się na zasadach spółdzielczych i buduje się nie tylko bloki. Widziałem całe kolonie domków willewskich, podobno jest to najbardziej rozpowszechniony typ budownictwa w kraju.

Jedną z takich podsofijskich kolonii grupuje artystów plastyków. W ogóle członkowie związków twórczych, a plastycy w szczególności — choć zapewne nie wszyscy — należą do kręgów finansowo uprzywilejowanych. Państwo popiera twórczość i łoży na jej rozwój poważne sumy. Bywa, że za obraz nagrodzony na wystawie można kupić samochód niezgorszej marki.

Udało mi się odwiedzić w pracowni jednego z głośniejszych plastyków bułgarskich, wziętego karykaturzystę i malarza scen ludowo-państwowych. Zaraz po mnie wtargnęło do mieszkania dwóch dziennikarzy. Przyjechali sfotografować „na pniu” obraz, o którym już rozeszła się fama.

Stojan Wenew sam zaprojektował sobie rozkład wili. Na pięterku posiada malutkie mieszkanie, na półpiętrze — ogromną pracownię z przyległościami. Niski parter zajmuje ogromna sala z kominem, urządzona na wzór świetlicy w zamożnym domu chłopskim. Ściany owej świetlicy pokrył artysta malowidłami przedstawiającymi winobranie oraz wesele na wsi macedońskiej, gdzie tego rodzaju uroczystości odbywają się z reguły tuż po zbiorach.

Malarstwo to, bajecznie kolorowe, w rysunku trochę przeszarżowane, promieniuje niefrasobliwym, zawadiackim humorem, łączy szczęśliwie rubaszną hajducką groteskę z kulturą dobrej, nieco akademickiej szkoły. Stalugowe

obrazy Wenewa podobały mi się mniej. Próba wtłoczenia ludowego prymitywu w realizm wypadła nieprzekonywująco.

Prymityw i realizm, ludowość i nowoczesność. Problem pogodzenia świętych tradycji plastyki ludowej z artystycznym nurtami współczesności przytacza twórców najcięższym brzemieniem. Bo jakże? Z jednej strony wymagania przemysłu, tempo życia, przemiany mody i obyczajów, z drugiej — prześliczne wzory ludowego rękoczyna, cacka wykonywane latami, z maestrią i pieczołowitością ludzi, którym się nie spieszy. A jednocześnie w cackach tych zawarte całe poczucie „bułgarskości”, z takim trudem pielęgnowane w latach niewoli. Bo przecież była to sztuka więcej niż ludowa, to była jedyna sztuka narodu.

Problem uwidocznił się z całą siłą na jubileuszowej wystawie plastyki użytkowej, która otwarta była w Sofii od grudnia do lutego bieżącego roku. W dziełach unikatowych w mozaikach, kilimach, artystycznym kowalstwie i introligatorstwie — plastycy bułgarscy albo stosowali ze smakiem wzory tradycyjne, albo umieli wykonać inwencje, przetworzyć elementy starej sztuki zgodnie z wymaganiami nowych tworzyw i narzędzi. Tam jednak, gdzie ujawniała się konieczność zrozumienia nowej funkcji przedmiotu, tam gdzie trzeba było dostosować wzory do powielania przemysłowego — okazywali się raczej bezradni. Meble wypadły bardzo słabo, ceramika niewiele lepiej. W tkactwie królowała szampa.

Równolegle z wystawą plastyków bułgarskich mieszkańcy Sofii mogli oglądać prace studentów łódzkiej PWSSP zaprezentowane w lokalu Polskiego Ośrodka Kulturalnego. Mimo szczupłego pomieszczenia wystawa urządzona została ze smakiem. Dyrektor ośrodka, pan Nowacki, zresztą łódzianin z pochodzenia, dołożył starań, by wszystko wypadło jak najokazalej. Wystawa zrobiła też furorę zarówno w kołach fachowych, jak wśród ogółu ludności. Zwiedzały ją tłumy. W prasie ukazały się znakomite recenzje.

Wystawa nasza rozogniła tym bardziej dyskusję nad przyszłością i możliwościami sztuki bułgarskiej. Dyskusje oficjalne, z długimi monologami i dyskusje w małych kółkach, prywatne. Byłem świadkiem takiej prywatnej dyskusji w domu jednego z wybitniejszych krytyków. Zaproszono mnie trochę w charakterze arbitra, ale po kilku kieliszkach koniaku uczestnicy zaczęli sobie skakać do oczu z łacie południowym temperamentem. Bawiłem się doskonale, choć rozumiałem zaledwie co piąte słowo. A koniak mają Bułgarzy wyborny. Polecam.

HENRYK ANDERS



Sofia. Biblioteka im. Wasyla Kolarowa

kupno kilku monet, czy pamiątkowej miniaturowej po babci. Zapytani o wiek, adres i rodziców, rumienia się i wychodzą szybko zapomniawszy o planowanej transakcji.

Ekspozycje przyjęte „Desa” bierze w kilkunastu depozytach. Oceną ich wartości zajmuje się specjalna komisja rzeczoznawców powołana przez Min. Kultury i Sztuki. Po dokładnych oględzinach i badaniu przedmiotu klient zostaje powiadomiony o wartości i decyduje o jego dalszym losach. Zdarzają się wtedy ciekawe wypadki. Ludzie często nie wiedzą o wartości posiadanego antyku. Zdarzyło się np. że pewien student przyniósł do „Desy” saską patelnię porcelanową wartości ok. 4 tys. złotych. „Desa” zatrzymała ją natychmiast, gdyż należała do wyjątkowo cennych. Po kilku dniach ten sam student przyniósł drugą patelnię, tej samej wartości, potem trzecią i czwartą. I te zostały natychmiast kupione. Wydawałoby się, że historia prosta i naturalna. Otóż nie koniec na tym. Po kilku miesiącach do „Desy” przyszła starsza pani z identyczną piątą patelnią i nieśmiałym pytaniem czy dostanie za nią kilkadziesiąt złotych. Zaskoczenie było ogromne kiedy usłyszała cenę i ze łzami w oczach opowiedziała, że cztery pozostałe, które również były jej własnością sprzedawała młodemu człowiekowi po 70 zł za sztukę. Smutna historia, ale prawdziwa. Moral: lepiej sprawdzić wartość posiadanego przedmiotu niż...

„Desa” istnieje w Łodzi od dziesięciu lat, do zadań jej należy m. in. wyrugowanie prywatnego handlu dziełami sztuki — wylawianie ciekawych, wybitnych pozycji, które częstokroć oferuje muzeum. Ma powodzenie, cieszy się doskonałą opinią. I gdyby nie lokal, zbyt może mały i ciasny — wszystko byłoby jak najlepiej. Łódź, trzeba przyznać ze smutkiem nie ma takich tradycji kulturalnych jak Kraków, czy Warszawa, i dlatego to małe „muzeum użytkowe” spełnia w naszym mieście wyjątkowo ważną rolę. Przez „receptę” łódzkiej „Desy” przeszły takie wybitne obrazy jak — Falat, Kossak, Grottger, Chelmoński i inni. Wiele z nich zakupiło muzeum, inne zdobną ściany mieszkań prywatnych. W tej chwili do najcenniejszych pozycji zaliczyć można obraz holenderski — (malarstwo anonimowe), wartości trzydziestu tysięcy złotych, szkołę włoską — obraz barokowy z XV w. wartości czterdziestu tys. złotych. Jest tu Wyczółkowski, Witkacy i kilka cennych zabytków sztuki zachodniej. Nie pozostają one w „Desie” długo. Na taką rzecz zawsze znajdzie się amator — usłyszałam od przemiłej kierowniczki salonu o Wandzie Borowskiej, która dodała — „Wszystko co stare, dobre i cenne szybko idzie”.

Nie zawsze ekspozycje przyniesione do „Desy” nadają się do natychmiastowego kupna czy przyjęcia w komis. często wymagają „remonu”. Najwięcej ubytków

mają meble dlatego otwarto warsztat, gdzie fachowcy przeprowadzają renowację ram i mebli — te ostatnie znajdują ogromną ilość nabywców. Kolekcjonerzy całymi latami szukają i dobierają pojedyncze sztuki do kompletu. Desowskie meble zdobną też pałac w Jabłoninie urządzony przez PAN.

W tej chwili „Desa” posiada przeszliczny komplet mebli Simlera wartości ok. 13 tys. złotych. Jest tu jeszcze sekretaria „Maria Teresa” — piękna w linii, bogato rzeźbiona, ornamentowana, cena 7 tys. złotych. Zobaczyć tu można wspaniałe dywany wschodnie np. Khorossan wartości około 13 tys. złotych, co prawda podniszczony, w lepszym stanie kosztowałby dwa razy tyle. Jest również piękny Shiraz. Trudno dziwić się ludziom, którzy przychodzą tu tylko popatrzeć, naprawdę jest na co patrzeć. Porcelana, stare rzeźby, miniaturowe, srebro, brąz, meble,

TAJEMNICE „DESY”

kryształowy kilim. Każdy z tych artykułów ma swoją historię i przeszłość.

Ceny eksponatów znajdujących się w salonie „Desy” są wysokie, oczywiście nie-możliwą rzeczą jest to, żeby z pensji kupić sobie obraz czy wazon za kilka lub kilkanaście tysięcy złotych. Ale „Desa” prowadzi przecież sprzedaż ratową i wszystko co kosztuje powyżej tysiąca złotych można nabyć na raty. No i oczywiście każdy może być pewien autentyczności danego przedmiotu. Bywają przecież fałszyki! Zdarzyło się w „Desie” wypadek (nie jeden zresztą), że obraz przyniesiony w komis i uznany za cenny zabytek malarstwa polskiego, okazał się równie dobrym malarstwem, ale niemieckim z tego samego okresu. W czasie badania przez rzeczoznawców przekonano się, że starożytny malarz niemiecki i na to miejsce umiejętnie zresztą podrobiono podpis malarza polskiego.

Bywają i inne wypadki. Komis MHD nierazko przyjmują i oceniają wysoko małe wartości obrazów i odwrotnie. Dlatego też jeżeli chce się coś kupić nie narażając się na oszustwo, to naprawdę tylko w „Desie”. Niedawno Biblioteka Zbiórka Dzieł Sztuki wydała katalog monet polskich. Jest to wydawnictwo niezbędne dla kolekcjonerów. Zaplanowane jest wydanie podobnych katalogów dla srebra, mebli, tkanin, ceramiki.

A propos monet — po niedawnej audycji w telewizji z okazji 1000-lecia monety polskiej „Desa” zaczęli odwiedzać ludzie pragnący kupić choćby jedną, niedrogą i ciekawą monetę zabytkową.

Ceny od 5 zł nawet do 10 tys. zł.

Już na pierwszy rzut oka odcinają się od zabytkowych



Fot. E. Kudaj

wysoko pod szyję. Ikon tego rodzaju jest niewiele i prawdziwą satysfakcją dla zbieracza jest posiadanie w swojej kolekcji tego rodzaju zabytki.

Z wypchanej teczki p. Anatol wyjął dwie przeszliczne filiżanki i puchar z herbem insygnowanym emalią. Poprosiłam o opowiedzenie mi historii tych przedmiotów należących do najbardziej cennych w zbiorze p. Gupieniec. Otóż puchar pochodzi z 1693 r. i należał do Księcia saskońskiego Jana Jerzego IV. Puchar stał w „Desie” długo i nikt nie zwracał uwagi na szklane naczynie kolorowo malowane, przypominające swoim wyglądem typowe bawarskie kufle. Okazało się po dokładnych oględzinach, że ma na dnie male odłuszczenie co świadczy o odbitej przy wydmuchiowaniu reszcie pozostałego szkła. No i rok 1693 — ile to już lat temu. W efekcie puchar powędrował do zbiorów p. Gupieniec.

Filiżanki też mają swoją historię — szczególnie ciekawym okazem jest rosyjska w stylu Mikołaja I. Produkowana tuż przed Wielką Rewolucją na wystawie porcelany do Holandii. Po obaleniu caratu filiżanka ta powędrowała na ową wystawę z zamalowanym herbem Mikołaja i umieszczonym obok sierpem i młotem już jako radziecka. W tej chwili należy do rzadkości. Zresztą krucho porcelana trudniej przechowuje się niż obrazy czy srebro, dlatego też każda sztuka ma dodatkową wartość, najmniejszą odłupienie dyskwalifikuje ją zupełnie. P. Anatol kupuje na raty i za zaoszczędzone pieniądze. Hobby jego przejęła również małżonka i w tej chwili oboje szczytują się ciekawymi zbiorami. Trudno zapamiętać wszystkie usłyszane historie i anegdotki. Czas upływa. W „Desie” zaczyna się codzienny pośpieszny napływ klientów i oglądających.

KRYSTYNA WYSZOMIRSKA



MARIAN PIECHAL

SEDNO RZECZY

STYL TO TREŚĆ

Ktoś mógłby powiedzieć, że to sprawa bardzo prosta: skoro styl to człowiek, a człowiek to treść, no to z tego wynika, że styl to treść. Tymczasem wiemy, że jeden i ten sam człowiek może mieć różne style. Zależy od tego z kim mówi, z jakiego powodu, gdzie, kiedy, to kogo itd. Stefan Żeromski, na przykład, innym stylem napisał „Ludzi bezdomnych”, a zupełnie innym „Dumę o hetmanie” — co dopiero mówić o „Wietrze od morza”, i „Miedzymorzu”, choć obie te książki mają ten sam temat. Jak widzimy, pojęcie stylu nie jest takie proste, raczej bardzo złożone, wielowarstwowe, a nawet wieloznaczne.

Przed wszystkim: czy czołowiek to tylko treść? Zdaje się, że człowiek to nie tylko treść, ale i forma. To zależy, że tak powiem, od jakości człowieka, od jego charakteru, od osobistej kultury wreszcie, jak wypowie daną sobie treść. W różnych momentach i różnych okolicznościach wypowie ją różnie, to znaczy nada jej inną formę i postać czyli przybierze ją w inny styl. Czyżby więc styl był tylko sprawnym rzemiosłem? Nie. Styl to przede wszystkim treść. Ale ta treść jest bardzo złożona: składa się nie tylko z ważności czy wartości tematu. Treść dzieła sztuki, treść książki zależy zarówno od tematu, jak i od autora. Autor może temat pogłębić lub pogłębić, spłycić lub podnieść jego znaczenie, zmniejszyć wartościowy temat lub z pozornie „niczego zrobić coś”. Są tematy które nadają znaczenie autorom, są autorzy, którzy nadają znaczenie tematowi. I chyba w tym drugim przypadku są to autorzy prawdziwi. Bo nie tematy im, ale oni tematami nadają styl czyli wydobywają z nich właściwe znaczenie, opatrzone trafnym komentarzem czyli istotę rzeczy wzbogacając własną treścią. Rzadkie są przypadki, kiedy właściwy temat trafi szczęśliwie na właściwego autora. Wtedy powstają tak idealne w stylu arcydzieła, jak „Colas Breugnon” Romaina Rollanda, „Mój wujaszek Benjamin” Tilliera, „Sędziowie” Wyspiańskiego lub „Obcy” Camusa.

Styl lekki, ciężki, łasy, ciemny, łatwy czy trudny — to wszystko nie zależy bynajmniej od rzemiosła pisarskiego mniej lub bardziej sprawnego, lecz od struktury duchowej pisarza, od jego osobowości, od charakteru treści, którą w swych utworach wyraża. Cyprian Norwid, pisarz stylu trudnego (przecież nie w zamierzeniu, nie z przekory, tylko z konieczności), mawiał, że w sztuce pisarskiej chodzi przede wszystkim o to, żeby: „odpowiednie dać rzeczy — słowo!”.

Większość wielkich pisarzy świata wbrew powszechnemu i powierzchownemu mniemaniu to właśnie pisarze trudni: Ajschylos, Dante, Szekspir, Stendhal, Flaubert, Dostojewski, Tomasz Mann, Conrad, Proust, Rilke, Joyce, Eliot, Borys Pasternak, Faulkner, Malraux, Camus — a ci z tych największych, którzy dziś uchodzą za łatwych i jasnych, kiedyś byli trudni, ciemni i nie zawsze

od razu zrozumiani, żeby wymienić choćby Byrona, Słowackiego, Baudelaire'a, Whitmana, Gide'a, Pirandella i Shawa.

Łatwość stylu nie świadczy jeszcze o talencie pisarza podobnie jak trudność stylu nie świadczy wcale o jego głębi. Często bowiem łatwość stylu pokrywa właśnie brak talentu, obnaża wewnętrzną pustkę autora, świadczy jedynie o jego zmyśle plagiatorskim. Z drugiej strony trudność stylu może być wynikiem zwykłej nieudolności autorskiej albo chronicznej niemożności opanowania tajemników rzemiosła pisarskiego, co na jedno wychodzi. To samo dotyczy łatwości czy trudności w pisaniu. To, że nam się łatwo pisze, nie świadczy wcale, że mamy talent, a to, że trudno, iż go nie mamy. Talent bowiem nie leży ani w łatwości czy trudności pisania, ani w łatwości czy trudności stylu, ale w charakterze, ważności czy też w wymiarze tego, co tym stylem wyrażamy.

Styl pojęty jako rzemiosło to stylizacja. Stylizacja niczego w dziele sztuki nie można nadrobić. Często czytelnicy, a także i niektórzy autorzy, myślą styl ze stylizacją. Styl to maksimum treści w minimum słowach. Stylizacja to minimum treści w maksimum słów. Nadmiar słów to stylizacja. Nadmiar treści to styl. Analiza stylu odsłania coraz to nowe treści w dziele sztuki, analiza stylizacji obnaża jego zupełną pustkę. Dlatego każda książka, zawierająca głęboką lub bogatą treść ma swój odrębny, niepowtarzalny, autentyczny styl, mimo, że autor pisząc ją nie myślał o żadnym stylu. Styl organizujący niejako wynika z treści. Bo styl to właśnie treść.

Stąd takie zjawiska, spotykane często w dziełach literatury, jak autorzy jednej książki w której zawarł całą treść swego życia. Taka książka to zazwyczaj arcydzieło stylu czyli treści. Każda następna ich książka, to już powtórka czyli imitacja pierwszej. A imitacja ta przejawia się w formie nowej stylizacji starej treści. Dlatego tylko ta pierwsza książka ma styl, który wyraża właściwą jej treść. Następne książki stylizują czyli fałszują tę treść, obnażając dalszą niemoc twórczą autora. Przykład jeden z wielu: Zygmunt Krasiński i jego młodzieńcze arcydzieło „Nieboska Komedia”, a potem coraz gorsze stylizacje aż do poziomu zupełnej grafomanii.

Co prawda, zdarzają się, chociaż bardzo rzadko, procesy odwrotne: od stylizacji do stylu czyli od imitacji do prawdziwej twórczości. Przykładami tutaj mogą być: Morsztyn, Słowacki, Sienkiewicz, Nałkowska, Iwaszkiewicz, Kruczkowski, Przybysz, Ważyk. To na pocieszenie niektórych z najmłodszych poglówia naszych pisarzy, a zwłaszcza poetów.

odgłosy str. 7

Już pięć tygodni trwały zmagania o życie chorego. Od pięciu tygodni lekarze II Kliniki Chorób Wewnętrznych Akademii Medycznej w Łodzi przy użyciu najnowocześniejszych środków medycznych usiłowali przywrócić zdrowie siedemnastoletniemu Bronisławowi A.

Był to przypadek zdarzający się niesłychanie rzadko — chłopiec cierpiący na septyczne zapalenie wsierdza, przeciwko któremu nawet najlepsze współczesne antybiotyki okazywały się bezsilne.

Biegł dzień za dniem... W sobotę wieczór, dnia 4 marca, Rozgłosnia Łódzka rzuciła w eter wezwanie: „Dla ciężko chorego poszukuje się pilnie leku o nazwie „Celbenina“. Ktokolwiek byłby w posiadaniu leku, proszony jest o zgłoszenie się...”

„Celbenina“ to nowy, niezwykle silny antybiotyk, który dopiero przed kilku miesiącami wszedł do arsenału środków medycyny światowej. Nie stosowano go jeszcze do tej pory w klinikach łódzkich. Z nim to właśnie rodzina chorego chłopca związała teraz swoje nadzieje...

Jednym z tych, którzy w sobotni wieczór usłyszeli dramatyczne wołanie o pomoc był student V roku łódzkiej Akademii Medycznej — Janusz Wszeborowski.

Już w trakcie powtarzania komunikatu, zdał sobie sprawę, że musi i może przyjść z pomocą. Jako amator — krótkofalowiec należał do wielkiej rodziny ludzi, którzy często słyszeli rozbrzmiewające w eterze „SOS“ lub „May Day“ i w każdej sytuacji zwykli uczestniczyć w organizowaniu szybkiej pomocy.

Teraz wypadki zaczynają łączyć się błyskawicznie. Janusz W. natychmiast telefonuje do rozgłośni prosząc o skontaktowanie z rodziną chorego. Po upływie pół godziny rozmawia już z siostrą chłopca i dowiaduje się szczegółów.

Ponieważ mieszka obecnie w domu studenckim i nie ma tu własnego nadajnika, Janusz W. postanawia zadepeszyć do swego przyjaciela z eteru — FZII Oswalda Dienstaga, z pochodzenia Polaka, zamieszkałego w Paryżu.

Następnego dnia, w niedzielę, wczesnym rankiem, Janusza W. odwiedza w domu studenckim niespodziewany gość — SP5VL, czyli inżynier — krótkofalowiec Stanisław Dej z Warszawy.

Okazuje się, że Stanisław D. krótko po północy „miał łączność“ przez swoją „radiostację“ z Oswaldem Dienstagem. Ten niecierpliwie poszukiwał w eterze kogoś z polskich krótkofalowców, by zakomunikować, że z otrzymanej przed chwilą zniekształconej depeszy nie może odczytać nazwy leku.

Obaj krótkofalowcy wysyłają natychmiast drugą depeszę.

Nie mija godzina, a grupa ratunkowa powiększa się o dalszych uczestników.

Jest oto godzina 14. Janusz W. wraz z posiadaczem najpotężniejszej krótkofalówki w Łodzi — profesorem Romanem Iżykowskim (SP7HX) oczekują sygnału z Paryża. Jeszcze rano bowiem otrzymali wiadomość od kolegi Klemensa z Wąbrzeźna (SP2BE), że Oswald D. będzie próbował o tej porze nawiązać łączność z Łodzią.

Oswald D. również nie działał już sam. Dobrał sobie do pomocy swego syna

lekarza — docenta jednej z klinik paryskich.

Łączność została nawiązana. W czasie rozmowy, trwającej ponad 2 godziny, syn Oswalda konsultował się telefonicznie ze swymi kolegami lekarzami. Ustalono dokładnie jakie i ile leków trzeba wysłać.

W poniedziałek rano Janusz W. otrzymał depeszę: „465/5 ASNIE-RES 25/24 6/3 0910 — LEKARSTWA PRZYLECA NA OKĘCIE VIA BRUXEL LES SABENA DZISIAJ GODZ PIĘTNASTA TRZYDZIESCI PIĘĆ NUMER PACZKI 341107 OSWALD“.

Pięciokilogramowa paczka oczekiwała już na Okęcie na odbiorcę. Tu jednak cała sprawa zaczęła się komplikować. Urzędujący na lotnisku celnicy nie byli w stanie podjąć decyzji o zwol-



nieniu od opłat tak dużej przesyłki.

Janusz W. błyskawicznie odszukał kierownika oddziału taryfowego w Centralnym Zarządzie Cel. Ten również obawiał się samodzielnie podjąć decyzję.

W ten sposób w orbitę sprawy wciągało się coraz więcej osób. Ostatecznie zdecydował dopiero dyrektor naczelny CZC — Krzyżewski, polecając wydać paczkę, pod warunkiem jednak, że klinika łódzka nadeśle odpowiednie oświadczenie.

Późnym wieczorem we wtorek 7 marca cenna przesyłka z 20 gramami „Celbeniny“ oraz innymi jeszcze lekami specjalnego gatunku, znalazła się w klinice przy ul. Sterlinga.

Od chwili nadania radiowego apelu minęło 72 godziny. Nawiązanie łączności, oraz przesłanie paczki na Okęcie, mimo przeszkód i komplikacji, trwało zaledwie 40 godzin.

Niemal drugie tyle minęło, zanim paczka z lotniska znalazła się w klinice.

Gdy w środę rano zakończył się „cykl dobowy“ kroplówki z penicyliną, którą stosowano choremu, Bronisław A. otrzymał pierwsze dawki nowego leku.

Ofiarodawcy, mimo poważnych kosztów, jakie ponieśli, przy zakupie leków, nie żądają za nie żadnej zapłaty. Również bezpłatnie

samolot „Sabeny“ dokonał transportu przesyłki.

Rodzina chorego, która nigdy nie przypuszczała, że jej wezwanie spowoduje taki oddźwięk u „ludzi dobrej woli“, pośpieszyła z wystaniem podziękowań i upominków. Oczywiście, był to jedynie symboliczny wyraz podziękowań, bo ofiarności nie tylko wymienionych tu krótkofalowców ale i wielu bezimiennych bohaterów tego zdarzenia, jak choćby pilotów „Sabeny“, telefonistek, paryskich lekarzy, nie sposób zmierzyć żadnymi przyjętymi na co dzień kryteriami.

Dowiadujemy się, że akcja trwa dalej. W czasie niedzielnej rozmowy profesora Iżykowskiego z Paryżem „wtrafił się“ krótkofalowiec włoski IIBOB, który prosił o podanie adresu, oblicując przysłać dalsze 20 gramów „Celbeniny“.

Swego czasu na tle podobnego zdarzenia osnuty został pamiętny film pt. „Gdyby wszyscy ludzie dobrej woli...“ Jeżeli ktokolwiek powątpiewa w autentyczność tamtej, opowieścianej przez twórców filmu, historii, to fakt, któremu na imię „Celbenina“ potwierdził, że wspaniałomyślność ludzka nie zna granic — w przenośni i w rzeczywistości.

J. ESBE

PS. 1) Nasuwa się nieodparta potrzeba komentarza. W konfrontacji z opisaną tu międzynarodową akcją „ludzi dobrej woli“, tym ostrzej rysują się fakty przeciwnostawne, o których doniesienia ukazują się nierazdąco na łamach prasy.

Oto kierownca nie udziela pomocy potrąconemu rowerzyście i ucieka, świadomie skazując tamtego na śmierć. Oto były marynarz przygląda się biernie, gdy w pobliskim stawie tonię dwoje małych dzieci. Oto właściciel samochodu odmawia transportu rannego, bo mu pobrudzi fotel. Oto bezduszny personel przychodni lekarskiej nie udziela pomocy rannemu w czasie pracy murarzowi, na skutek czego ten traci wzrok.

I to też są fakty...

PS. (2)

Już po napisaniu artykułu, tuż przed oddaniem go do druku, mieliśmy okazję zapoznać się z tekstem listu pana Oswalda Dienstaga, przesłanego p. Wszeborowskiemu, którego fragmenty cytujemy poniżej: „Lekarstwo „Celbenina“ jest pochodzenia angielskiego, mało tu znane. Od tygodnia zaledwie istnieje to samo lekarstwo produkcyjne francuskiej i nazywa się „Flabelline“. Dowiedzieliśmy się o tym, około godz. 10 wczoraj (w niedzielę).

O 17-tej mieliśmy wreszcie komplet leków. Telefonowałem na lotnisko Bourget, skąd odlatają samoloty LOT-u. Nie ma z LOT-u nikogo. Poinformowałem mnie, że następny samolot LOT-u odlataje we wtorek. Wiele załadowałem do auta syna, żonę i lekarstwa i wyjechałem do Orly, skąd odlatają samoloty na cały świat. Jest to o dwanaście km od Paryża — ode mnie o 24 km. Byłem na Orly, o 18.20, a samolotów nie było do Polski. O 18.30 powiedziano mi, że o godz. 20.20 odlataje z Bourget samolot belgijski do Brukseli, skąd istnieje połączenie z Warszawą.

Cały problem polegał na możliwości dojechania na czas do Bourget, gdzie na mnie już czekano. Miałem na to godzinę. Paryż zakorkowany zupełnie, jak również droga z Orly do Paryża. Normalnie potrzeba by mi było 3 godziny na taki przejazd.

Zwróciłem się do policji, dostalem dwóch motocyklistów. Przejechałem drogę do Paryża i Paryż z szybkością 100 km na godzinę, a policja wstrzymywała ruch w mieście. 42 minuty później byłem na Bourget, motocykliści poprzedzali mnie z syrenami.

Tak bardzo chętnym, by to wszystko coś pomogło — i by nam się udało uratować tego młodzieńca.

Nie pyta się, co to kosztuje, uważa się za pomoc od Pelaka na obczyźnie dla swoich. Robiłem to już wiele razy i jeszcze często i zawsze to zrobię dla wypadków poważnych...“

JERZY WILMAŃSKI

WRAŻENIA KAUKASKIE LECHA UTRACKIEGO

„W krańcistej koszuli i szarych, mocno podartych i połatanych pumpach, poowijany lina na której wisiały jakieś stalowe pierścienie i haki, z przewieszonym przez szyję na sznurku młotkiem był dla mnie wcieleniem romantyczności, człowiekiem świata gór. Na powitanie za machał wesoło ręką“.

Był to Stanisław Groński jeden z najwybitniejszych polskich taterników, który trzy lata temu zginął w Alpach. Od tego miejsca na poszarpanej grani niedaleko Kościelcowej Przełęczy w Tatrach, od tego przyjaznego gestu rozpoczęła się dla Lecha Utrackiego droga, dosłownie i w przenośni skłata droga, która zawiodła go nie tylko w Alpy i Kaukaz ale również doprowadziła do wydania dwóch książek. Wydany w swoim czasie „Notatnik alpejski“ — opowieść o zdobyciu przez polskich alpinistów zachodniej ściany Petit Dru i Grani Peutezey — znalazł sobie wielu wdziecznych czytelników. Najnowsza książka Utrackiego „W krainie Tau-Dżin-Padyszacha“ będzie również przez miłośników dobrej literatury przygodowej z pewnością rozbijana.

A trzeba powiedzieć, że książka jest warta tego. Wyprawa w Kaukaz, o której pisze Utracki, obfitowała w

przyjścia i zdarzenia naprawdę interesujące. No, a poza tym Kaukaz, lud kaukaski, jego życie i obyczaje stanowią dla nas egzotykę na pewno nie małą. Czyż wie my na przykład o tym, że lud Bałkarów stosuje bardzo oryginalną i zabawną formę egzaminu dla ubiegającego się o żonę zalotnika. Otóż gdy kandydat na męża przychodzi do swych przyszłych teściów wygłosić zarcęcinową formułę mu si przedtem opróżnić spore i wysmarowane tłuszczem naczynie pełne samogonu. Alkohol należy wypić bez odpoczynku. Coś mi się zdaje, że Polacy mieliby u bałkańskich dziewcząt nie lada powodzenie...

Cóż zresztą wiemy w ogóle o plemionach Swanów, Bałkarów, plemionach, które istniały już wtedy, gdy Polskę porastała puszcza. Dlatego ogromnym walorem książki są te właśnie sprawy, sprawy ludzi i plemion odciętych od reszty świata maszynami szczytów. Dzięki temu książka jest w jakiś sposób szersza o problematykę inną niż sprawy „czyści“ wspinaczkowe. Bo co robić? Alpinistów mamy w Polsce kilkuset, a czytelników ciekawych spraw nieznanych, a frapujących tysięcy.

Książkę Utrackiego czyta się jednym tchem jest napisana żywo i barwnie i z pewnością przykłada się

gdybyż tylko autor chciał zrezygnować z tych wszystkich „smutnych uśmiechów jesieni“, „krętych łożysk fantazji i marzeń“ byłaby to książka bardzo bliska idealu. Oddać trzeba jednak autorowi sprawiedliwość — tych lirycznych ozdóbek jest w zbiorze niewiele. Jest za to rzeczowa i solidna relacja o rzeczach dla przeciętnego śmiertelnika nieznanym, ba — czasem wręcz niezrozumiałych.



Książka Utrackiego nie jest więc (jak to nieraz z literaturą alpinistyczną bywa) przeznaczona wyłącznie dla klanu wtajemniczonych. I to sprawa nie tyle „słowniczka terminów wysokogórskich“ czy paru stron „przypisów“. To sprawa zamierzeń i koncepcji autora, koncepcji którym czytelnik z pewnością przykłada się



Z Magla Na Ty

Poprzedni felieton poświęciliśmy tajemniczemu zjawiskom tzw. jasnowidzenia przestrzennego. Dziś na zakończenie tych ciekawostkowych rozważań o czarnej magii przypominamy na szym Czytelnikom postać i pracę d-ra Juliana Ochrowicza, który przed ponad pół wiekiem zajmował się podobnymi problemami.

Julian Ochrowicz — lekarz, poza tym trochę psycholog i trochę maniak wydał w początkach XX wieku bardzo ciekawą i nieco nawet zabawną książeczkę pt. „Zjawiska Medyumiczne“. Książeczka jest oczywiście zabawna w tych momentach gdzie autor ze zwięzłą powagą analizuje nieartykułowany bełkot somnambulków starając się udowodnić, iż jest to nieznany tajemniczy język, język którego nikt nie zna, ale który „przecież istnieje“.

Oto fragment owych przedziwnych monologów: „Cześć ezilesti, salantonat, latomi, cy, lawi, vostikulaszar alesti itd. itd. Ochrowicz uważa, że słowa te oznaczają „po dwunastej obudzić zupełnie a teraz kapać się“. Skąd genialny eksperymentator na to wpadł nie wiadomo. Nie wiadomo również jakim cudem potrafił dla tego bełkotu stworzyć odrębną gramatykę. „Co do gochodzenia owego języka — pisał na ten temat Ochrowicz“ — „nie umiem powie-

dzieć nic ścisłego. Zdaje się tylko, że został on wytworzony w sferach bezwiednych, najgłębszych“.

Poważniej natomiast należałoby chyba traktować zastanawiające doświadczenia przeprowadzone przez Ochrowicza z niejaką Stanisławą Tomczykową kobietą o zdolnościach telefinezji.

Trzeba zresztą od razu rozwiać wątpliwości Czytelników i powiedzieć, że eksperymenty z Tomczykową przeprowadzali również inni badacze jak np. prof. Floury. Nie może więc tu być mowy o jakimś pospolitym kancie ze strony Ochrowicza. Wspomniany prof. Floury doświadczenia przeprowadzane z Tomczykową opisał i skomentował w pracy pt. „Eksprits et mediums“ wydanej w Genewie w r. 1911.

Oto co w pracy tej czytamy: „Posiedzeń było 4. Pierwsze odbyło się w Paryżu i nie pozostawiło mi żadnych wątpliwości co do autentyczności zjawisk telefinezji. Panna Tomczyk powodowała ruchy kuli celuloidowej w różne strony, w górę, na przód i w tył zgodnie z zapowiedzią i zawsze z odległości wielu centymetrów pomiędzy jej palcami a przedmiotem“.

Wszyscy wiemy oczywiście, że takie „cuda“ wykonać bardzo łatwo za pomocą metalowej kulki i silnego magnesu. Ale żeby podobny „magnetyzm“ mieć w palcach — to już jest chyba czarna magia. Jak to zresztą z ówczesnymi badełkami bywało, zjawisk tych nie próbowano na wet tłumaczyć. Pozostały jedynie spisane relacje z odbytych doświadczeń. Przy ówczesnym stanie wiedzy wszelka próba wytłumaczenia mogła doprowadzić zresztą tylko do bardzo śmiesznych ogólników jak np. owe stwierdzenie Ochrowicza, że zjawiska te oparte są na działaniu... promieni pozafalkowych lub bliżej nieokreślonych przez niego „promieni sztywnych“.

W końcu XIX i początku XX wieku opinię publiczną zelektryzowały ogłoszone przez angielskiego Towarzystwo Badań Psychiczych

materiały dotyczące doświadczeń z niejaką Eusapią Paladino. „Otrzymałmy — czytamy tam — niemal wszystkie objawy znane: unoszenie się stołu, grę na fortepianie z odległości, klucz przekraczany w zamku (z odległości). Z naszego punktu widzenia najciekawszym byłoby doświadczenie w pełnym świetle polegające na wprowadzeniu w ruch małej szalki do ważenia listów. Objaw ten wielokrotnie powtarzany po sprawdzeniu nieobecności nitek lub jakichkolwiek innych sztuczek stanowił dla nas experimentum crucis i przekonał nas ostatecznie o rzeczywistości zjawisk“.

Bardzo to ładnie i tajemniczo wygląda, ale jednak w kilka lat później to samo towarzystwo zarzucało Eusapii Paladino oszustwo. Nie wiemy niestety czym owa matrona zasłużyła sobie na nielaskę badaczy. Stwierdzić trzeba jednak, że nasz rodak dr Julian Ochrowicz stanął wtedy po rycersku w obronie pomówionej o szwindel kobiety i... jak się potem okazało miał ponoc rację. Po jakimś czasie bowiem sprawa uciła, badania z Eusapią wznowiono i na jej temat powstała spora nawet ilość opracowań i relacji.

Osobiście nie dalbym nawet 5 groszy za to czy sprytna neapolitanka nie zrobiła — mówiąc trywialnie — „balonów“ z czigodnych badaczy. Afera Eustapii pachnie bowiem nie tyle czarną magią co pospolitym kanciem.

No, ale są to sprawy chyba nieuniknione jeśli mamy do czynienia ze zjawiskami, o których mamy dość kiepskie pojęcie. Nikt nam dziś nie mówi, że na Księżycu żyją ludzie, ale jeśli ktoś uparł się twierdzić, że słyszy np. słowa wypowiedziane w odległości 100 m możemy tylko wzruszyć ramionami i czekać aż nauka odpowie czy podobne zjawiska są istotnie możliwe. A jakąż odpowiedzią w tym i nie tylko w tym względzie kiedyś przecie otrzymamy. I tym to optymistycznym akcentem kończymy nasz cykl magicznych i czarnoksięskich ciekawostek.

J. W.

O czym warto wiedzieć stawiając żądania telewizji

Telewizja stała się tak ważną a problem jej programu tak istotny, że wiele gazet codziennych rozpisuje ankiety wśród czytelników, którzy mają odpowiedzieć na pytania, jak oceniają program telewizyjny i co w programie telewizyjnym im się podoba. Obydwa pytania już z góry można by zaliczyć do retorycznych, ponieważ wiadomo na ogół, co telewizyjni widzowie sądzą o programie i można się domyślać, co wobec tego chcieliby widzieć na ekranach. Ale podyskutować szczegółowo można i warto. Wiele drukują gazetki słuszne i rzeczowe wypowiedzi widzów. Młodzi tylko telewizja. Krótkie rozmowy o programie między red. Pijanowskim a dyr. Pańskim nie rozstrzygają już zagadnienia w sensie rozładowywania napięcia, jakie rośnie wśród rzeszy odbiorców. Atak opinii publicznej przypomina zatem owe przysłówowe gadanie dziada do obraźliwej. A obraz ani słowa.

Ja chcę postąpić nieco inaczej. Uchylę rąbka telewizyjnej kulis. Nie poprzestanę na np. tylko na wolaniu o programy rozrywkowe. Nie pytam, dlaczego nie ma ich tyle, ile by się należało, a jeśli są to marne albo słabe („Kabaret Starszych Panów”, „Co kto lubi”). Rzadko natomiast trafiam się na audycje dobre, poprawne, których powinno być najwięcej. Uchylmy rąbka i pokażmy telewizyjnym widzom, jak Telewizja zwykła postępować z autorami i wykonawcami koncertów czy programów rozrywkowych.

W telewizji łódzkiej predysponowanej odgórnie do realizowania programów rozrywkowych nikt nie ma prawa ostentacyjnej decyzji o puszczaniu czy nie puszczaniu audycji na antenie. Zastawiają wszystko Warszawa. W Warszawie robi to pracownik niższego szczebla niż dyrektor ośrodka łódzkiego. Dyrektorowi program może się podobać, o czym wcześniej już poinformował autorów, natomiast redaktor warszawski odrzuca audycję. A zatem staje na porządku dnia sprawa kompetencji w telewizji. Zdrowy rozsądek nakazywałby zaufać realizatorom regionalnym, którzy, daleko od Warszawy, nie są tak głuusi od redaktorów warszawskich dlatego, że mieszkają 130 kilometrów od stolicy. Niech i oni za coś odpowiadają! Niech coś robią! A wiadomo, że tylko



Ludmila Jakubczak śpiewa w radiowym „Koncercie z Dywanikiem” realizowanym przez zespół WAR-ŁÓDZ.

wiele wysiłku twórczego. Reżyser jest zadowolony. Jego zwierzchnicy również. Warszawa odrzuca audycję bez słowa wyjaśnienia. Autorzy stracili miejsce czasu nie zarabiając grosza. Bo trzeba tu dodać, w TV nie ma zwyczaju podpisywania umów o dzieło, bo w wypadku nie puszczania audycji na antenie, należy zapłacić autorom 50 procent honorarium. I czy dziwi się państwo, że autorzy nie lubią współpracować z telewizją, szczególnie ci, od których satyrę czy piosenkę. A, że mimo to takie rzeczy są na ekranie,

to raczej kwestia przypadku, albo „odgrzewanie kotłówek” po kabaretach, audycjach estradowych radia, czy teatrach satyrycznych. Jeśli jest coś nowego to z Warszawy. Wtajemniczeni powiadają, że prawo do podpisywania umów o dzieło mają i tam tylko nieliczne osoby...

W dyskusjach prasowych powtarza się postulat transmitowania w telewizji audycji estradowych radia takich, jak np. „Powiedz mi przy mikrofonie”, „Wesoły Autobus” czy „Program z dywanikiem”. Oczywiście z punktu widzenia widzów jest to postulat słuszny. Ale trud przygotowania takiej uniwersalnej telewizyjno-radiowej audycji jest o wiele większy niż każdej z osobna i to zarówno od strony aktorskiej, reżyserskiej, realizacyjnej i autorskiej. Wymaga zatem zmiany polityki finansowej radio-telewizyjnej. Ostatecznie trzeba pamiętać — skoro uchylamy już rąbka kulis — że co innego tekst satyryczny dla małego teatru, czy kabaretu a co innego dla radia i TV i należy też wiedzieć, że autor skreślił czy piosenkę WIECEJ ZYSKU — oddając swój tekst do teatru, który prowadzi program przez kilka miesięcy a dany tekst ogląda w sumie 50 tys. widzów, niż wtedy gdy „puszcza” go w radio czy w TV, gdzie na raz słucha go 5 milionów ludzi a przy trzykrotnym powtarzaniu audycji odpowiednio więcej. Taniemy ZAKUS-u w teatrach są bowiem większe niż zupełnie groszowe datki w radio i TV.

To są oczywiście sprawy jak najbardziej zawodowe, ale trzeba o nich wiedzieć, jeśli się chce poważnie dyskutować. Programu telewizyjnego nie robią, a przynajmniej nie powinni robić krasnoludki, a ludzie zjadający nie na „branży”. Tymczasem jak widać, telewizja nie wiele robi, aby tych ludzi do siebie przyciągnąć. Czynniki raczej wszystkie, by się pozbędzie „natrefów”. Dobrze byłoby więc, dla pełnej jasności sprawy i sytuacji organizować poważne spotkania w gronie twórców: literatów, kompozytorów, dziennikarzy, aktorów, z przedstawicielami centralnych i regionalnych władz TV oraz resortów kultury. Same dyskusje prasowe sprawy nie rozwiążą i opinii publicznej nie uspokoją. Liczba widzów rośnie a problem programowy TV staje się coraz poważniejszy.

L. G.

EDYTKA NA EKRANIE



Państwo na pewno zauważyli, że nasi spikerzy telewizyjni stanowią niejako jedną rodzinę, coś w rodzaju radiowych Matyszków. I tak panią domu jest Irena Dzieciś, panem Stanisław Czełmich, uroczą córeczką Edytka Wojtczak. Przyjaciół domu jest paru: Suzin, Borowicz, Popow, Pach... Ale oto żaden z tych przyjaciół nie zdobył ręki Edytki! Widzimy ją na zdjęciu w towarzystwie Leona Niemczyka. Wyszła więc za mąż za żonatego mężczyznę? Bynajmniej! Przedstawiamy tylko fotot z nowej komedii produkcji polskiej w reżyserii Haliny Biełkowskiej i Włodzimierza Haupe pt. „Szczęściarz Antoni”. Nie chcemy wkraczać tu w kompetencje naszych kolegów od filmu w „Ogłosach”, ale ci co film już widzieli, powiadają, że bardzo się udał.

Piszą do nas...

... z dużym zainteresowaniem czytałam pański artykuł z „Ogłoszeń” na temat telewizyjny. I mnie się wydaje, że jeżeli Łódź może od czasu do czasu zrealizować koncert rozrywkowy, to dlaczego jest to zawsze przegląd piosenek z całej Polski, pomysł zresztą chwalebny, ale nie jedyny — prawda?

Piszę do pana bezpośrednio pod wrażeniem wczorajszej akademii w Filharmonii (Święto Kobiet — walcemy o kobiety). Chodzi mi o panią Janinę Jaroszyńską, która tam występowała, jako „Małka z Bałut”. Znam ją z estrady i szlag mnie trafił, kiedy widzę i słyszę jak Warszawa lansuje swoje gwiazdy. A my mając p. Jaroszyńską p. Lutkiewiczą, p. Andrzejewską, p. Skoczylas absolutnie ich nie wykorzystujemy.

Niech pan walczy o nich. Warto!

Czytelnicy pana popra. Oczywiście należy aktorom zapewnić repertuar, ale w Łodzi chyba nie zabraknie dobrych literatów.

Maria Nowakowska

A więc — walcmy! Oczywiście nie chodzi o to, aby

w koncertach łódzkich wykorzystywać tylko łódzkie sily, ale łódzkie przede wszystkim. Aby pokazać naszym aktorów, wylansować ich, dobrać im repertuar, pozwolić dzięki regularnemu kontaktowi z kamerą wypracować własny styl telewizyjnego aktorstwa. Nawet Kalina Jedrusik nie spała z nieba — odkryła ją, prawdę mówiąc, dopiero telewizja. Odkryła, wylansowała tak że dzisiaj zdjęcia Kaliny Jedrusik, opinie Kaliny Jedrusik, wywiady z Kaliną Jedrusik, rozmówki z Kaliną Jedrusik i tak dalej i tak dalej zaklejały szpalty wszystkich polskich gazet.

Nie bójmy się odkryć. Są aktorzy już uznani, ale są i zapoznani. Poza Teatrem Nowym jest Teatr 7.15. Jest Teatr Powszechny i Teatr im. Jaracza. Operetka i Opera, Balet. Teatr Ziemi Łódzkiej, Estrada. Wreszcie Szkoła Aktorska, z której co zdolniejszych wylawia wprowadzić film, ale i telewizja może przecież z tego poletka dojrzewających talentów od czasu do czasu skorzystać.

Czy telewizja łódzka odkryła kogoś, poza kilkoma dziennikarzami lepiej lub gorzej gawędzącymi przez okienko? Raczej wątpliwe.

P.

KNOCK, czyli triumf teatru

W ubiegły piątek oglądaliśmy z Warszawy zgrabną zresztą komedio-farsę „Knock, czyli triumf medycyny” z Kazimierzem Rudzkim w roli tytułowej. Obsada w ogóle była zresztą wyborna — obok Rudzkiego — Drapińska, Kosobudzka, Czechowicz, długa lista dużych aktorskich nazwisk. Ale i w tym wypadku, w wypadku sztuki aktorskiej raczej niż reżyserkiej, sztuki stojącej na ramieniu, a nie pomysłami inscenizacyjnymi, okazało się po raz nie wiedzieć który, że retransmisja telewizyjna pozwala wprowadzić zapoznać się ze spektaklem i go posmakować, ale nie może w pełni go przekazać.

Nie ważne już, że mikrofony — źle najwyraźniej umieszczone — dawały pogłos i zaciemniały głos; tak; błąd można usunąć. Nie ważne, że nie do końca wypróbowane sytuacje zacierały się w planie telewizyjnym — kamery pracowały przeważnie na pełnym planie, zbliżenia były nieostre, niekonsekwentne, ciężka montażowa przypadkowość, zaimprovizowane... To także błąd do usunięcia i do naprawienia — widzieliśmy przecież retransmisję stojącą na naprawdę wysokim poziomie technicznym.

Ale teatr jest jednak teatrem. Mimo licznych sygnałów głoszących jakoby telewizja odbierała teatrowi widza — co zresztą jest po części prawdą — wydaje się, iż opinia starszych wielkimi telewizji zachodnich, zdaniem których telewizja zabiera wprawdzie widza teatrowi, ale tylko widza najmniej wyrobionego — ostatecznie w ogniu praktyki. Zapewne — ktoś, kto kupił sobie na raty telewizor chce nacieszyć się nową zabawką i natrzeć do syta, ale jeżeli był jakoś do teatru przywiązany to jeszcze do niego wróci.

Znakomite, pełne precyzji „gierki” Rudzkiego, Jego martwa twarz, gest nieomal kapłański, głos wycieniowany do perfekcji, cała maostrja wielkiego aktorstwa — gubiły się w telewizji. Kamera biegła wprawdzie na twarz, to na rękę, ale była bezzadna wówczas, gdy grał i twarz i ręce i pełny plan. W warunkach studyjnych aktorzy uciekliby się zapewne do innych środków wyrazu, „wyciszyli”, przepróbowali szczegółowo sytuacje — ale byłaby to już inna sztuka i inny spektakl.

Natomiast przedstawienie przeniesione z desek teatru mnie na przykład bardziej chyba zachęciło do sztuki aniżeli odstraszyło. Wyłączałem telewizor z uczuciem głodu, niedosytu, braku kontaktu ze sceną i aktorem. Trochę tak, jakbym zamiast filmu obejrzał tylko reklamową zapowiedź, albo przeczytał streszczenie — wiem o co chodzi, wiem co dobre, a co nie, ale nie czuję ani smaku, ani emocji.

Wiemy już dobrze, że przeniesienie dużych spektakli — szekspirowskich powiemy — z baszami, murami, drzewami i całą scenograficzną oprawą — nie udaje się w telewizji. Nie udaje się również przeniesienie sztuk kameralnych. Możemy być spokojni — telewizja nie polknie teatru, więcej — w przyszłości będzie chyba dla niego po prostu dobrą reklamą...

J. P.

Program na najbliższe dni



Magazyn „Nie tylko dla pań” czwartek godz. 20.

CZWARTEK — 16. III.

11.00 Program dla szkół: HISTORIA (dla kl. V-VI) — „U kolebki dziejów Polski” (W). 11.30 Przerwa. 17.30 Program dla dzieci: 1. Zrobimy to sami. 2. Rozmowa z córkami (W). 18.00 Polska Kronika Filmowa (W). 18.10 „W świecie fizyki” — program dla dzieci starszych (W). 18.45 Program publicystyczny (L). 19.00 W przededniu wyborów (W). 19.30

Dziennik telewizyjny (W). 20.00 „Nie tylko dla pań” — magazyn (W). 20.30 Film krótkometrażowy (L). „Narodzin statku” — produkcja polskiej. 20.45 Teatr „Kobra” — widowisko sensacyjne Andrzeja Wydrzyńskiego pt. „Antofagasta umrze o północy” (K).

PIĄTEK — 17. III.

17.30 Program filmowy „Przy pominięciu” (L. lok.). 18.00 Młodzieżowy program publicystyczny (W). 18.30 „Truść mózgów odpowiada” (W). 19.00 Dziennik telewizyjny (W). 19.30 „Truść mózgów odpowiada” c.d. (W). 19.45 Transmisja z Teatru „Syrena” z Warszawy

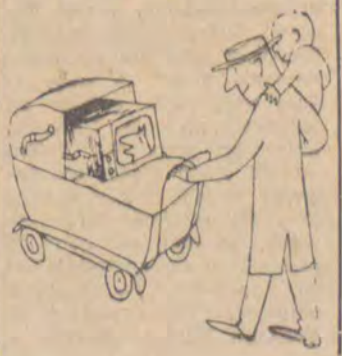
(W). 21.45 Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA — 18. III.

11.00 Program dla szkół: ZOOLOGIA (dla kl. VI) — „Dlaczego ptaki fruwać?” (W). 11.30 Przerwa. 17.00 Kurs samochodowy dla kierowców amatorów (W). 17.20 Program dla dzieci (W). Teatrzyk dla przedszkolaków — widowisko Anny Chodorowskiej. 17.55 Program tygodnia (W). 18.10 Program tygodnia (L. lok.). 18.20 Polska Kronika Filmowa i Film krótkometrażowy (W). 19.00 W przededniu wyborów (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.05 Magazyn kulturalny — „Pogaz” (W). 20.35 Film fabularny produkcji CSRS dozwolony od lat 16 „Przebudzenie” (W). 22.10 Ostatnie wiadomości (W). 22.15 „Bawcie się z nami” — rozrywkowy program estradowy (na Interwizje) (W).

NIEDZIELA — 19. III.

13.40 „Chłopiec i słonecznik” — film fabularny prod. radzieckiej (W). 15.00 Niedzielnia Bieślada (W). 16.00 LKF (L). 16.15 „Teethoren” — inscenizacja (K). 16.45 „Samoa” i „Holandia” — film z serii Disneyland (W). 17.35 Program rozrywkowy z Łodzi (L). 18.15 Film krótkometrażowy prod. polskiej „Po deszczu jest słońce” (L). 18.20 Teleturniej — „20 pytań” (K). 19.25 „Sąd idzie” — film krótkometrażowy prod. jugosłowiańskiej (W). 19.45 Dziennik telewizyjny (W). 20.30 „Okreś, który zatonął ze wstydu” — film fabularny prod. angielskiej (dubbing) (W). 22.00 Wiadomości sportowe (W).



str. 10 **odgłosy**

Von Hagen to nazwisko amerykańskiego badacza, specjalisty od problemów starożytnego Meksyku. Pierwszy odcinek jego powieści o Aztekach opublikowaliśmy przed tygodniem.

Wszelkąd panowała jeszcze nad Ameryką Północną epoka lodowa, kiedy pierwsze istoty ludzkie prze maszerowały pomostem Wysp Aleuckich z Azji na teren dzisiejszej Alaski... Minął jednak długi czas, nim ci ówczesni Syberyjczycy o czarnych grubych włosach i płaskich twarzach rozprzestrzenili się po całym kontynencie; być może dlatego spóźnili się w rozwoju o parę tysięcy lat, w ciągu których Europejczycy zdążyli opanować sztukę obróbki metalu — po to zresztą, by w pierwszym rzędzie zamienić kamienne groty, miecze i noże na żelazne...

Niemniej w różnych punktach zachodniej półkuli wyrosły nieznane Europie wielkie, tajemnicze cywilizacje. W pojęciu przeciętnego czytelnika otoczone są legendą, która stapia je w jedno; do tego stopnia, że wiadomość o odczytaniu pisma Majów, pewien znany warszawski dziennik uczył zdjęciem rzeźby Olmeków. Przy czym z kolei Aztekowie, główni bohaterowie naszych opowieści, nie byli bynajmniej ani najstarszą ani wszechmeksykańską cywilizacją. W swojej dolinie Anahuak — jak to pisaliśmy tydzień temu — pojawili się w roku 1168 naszej ery, ledwie 350 lat przed najazdem Corteza. Przed nimi rozwijał się cały fantastyczny świat starożytnego Meksyku.

Głowy doktora Stirlinga

Kiedy spojrzycie na mapę Meksyku, zwróćcie uwagę na miejsce, w którym odległość między jednym o drugim oceanem jest najmniejsza; to Przesmyk Teuantepec. W tropikalnym basenie rzeki Coatzacoalcos leży miasto Tres Zapotes. Przed niedawnym stosunkowo czasem dr Matthew Stirling odkrył tam kolosalnej wielkości — kamienną głowę. Głowa miała 2,15 m wysokości, spłaszczony nos i zmysłowe, grube wargi. Znamionowała dużą wrażliwość twórcy i skłonność do realizmu. Stylem nie przypominała niczego, co dotąd odkryto gdziekolwiek na świecie.

Niedługo potem znaleziono inne ogromne kamienne głowy; wszystkie z tymi samymi spłaszczonymi nosami i wąskimi, monogolickimi szpar

kami oczu. I wszystkie na terenie, który przed laty zajmował lud Olmeków.

Kiedy Hiszpanie w 1519 roku wylądowali w Meksyku, potomkowie starożytnych Olmeków zajmowali jeszcze swoje stare siedziby. Ale niewiele dochoowało się o nich na ich temat, poza tym, że tatuowali ciała, nakręcali zęby jaspisem, drogą specjalnych zabiegów spłaszczali czaszki, golili starannie twarze i połowali jak na trofea, na głowy ludzi, z których zdzielali skórę i garbowali ją. Poza tym szesnastowieczni Olmekowie praktykowali obrzezanie i stosowali jako karę — puszczanie krwi z narządów męskich.

Przodkowie ich pozostawili po sobie więcej: kamienne nagrobki, które miały znaczyć upływ czasu lub upamiętniać ważniejsze wypadki, miasta — świątynie, wielokondygnacyjne piramidy czy boiska do gry w piłkę. Kamienna głowa doktora Stirlinga pochodzi z roku 31 przed naszą erą, z czasu gdy w Europie kandydat na przyszłego cesarza Rzymu Oktawian gromił swego ry-

mekowie nazywali samą siebie „Olmeka“ pochodzi od azteckiego „Olli“ — guma; symbolem dawnych Olmeków było kauczukowe „drzewo płaczące“, „drzewo życia“. Handlowali gumą i wyrabiali z niej piłki do gry w „tlachilli“. Jednakże najwspanialszym spadkiem po tym wyjątkowo zdolnym i tajemniczym ludzie są wspomniane już „głowy“ i rzeźbione w jaspisie lub modelowane z niezwyklej wrażliwością gliniane figurki, znajdujące przez archeologów w kopcach grobowych i piramidach, które w minionych wiekach porosła dzungla...

Władcy Inkatonu

Kultura Olmeków upadła, a przecież — powiecie — Majowie pojawili się wcześniej; i mimo to dotrwali do połowy XVI wieku... To prawda: budowali swe miasta — świątynie zanim zdo-

Zagadka Monte Alban

Monte Alban — jeśli tak można je nazwać — odkrył dr Alfonso Caso. Piszę „jeśli tak można je nazwać“, bo miasto, odkryte przez doktora Caso, nigdy się tak nie nazywało. To tylko jego pozostałości leżą na wysokich bezdrzewnych wzgórzach sąsiadujących z doliną współczesnego miasta Monte Alban w kraju — Oaxaca.

Dwadzieścia lat spędził dr Caso, badając dwu i pół tysięczną historię Monte Alban. Kim byli jego budowniczości? Od samego początku miasto, co w rodzaju greckiego Olimpu czy Delf, gdzie mieszkali bogowie w towarzystwie kapłanów i obслуги świątyni, miasto bogów, odwiedzane przez wiernych, miało charakter zapoteki. Zbudowali je Zapotekowie. Żeby jednak nie wydawało się to zbyt proste, w Monte Alban — również od najwcześniejszych czasów —



Tutaj von Hagen oznaczył drogę człowieka z Azji na kontynent amerykański, który dawni Syberyjczycy zasiedlili od północnego Kręgu Polarnego aż po samą Patagonię...

dy tego wysoce kulturalnego kręsu posiadali już papier, zachowały się zresztą niektóre ich pisma; zaawansowani byli też w budownictwie i rolnictwie. Kulturowali szczególnie opowiadanie baśni. Indiański dostojnik z siedemnastego wieku Fernando de Alva wiele ich zapisał. Jedną z legend zawierała potem niemało na sukcesach Corteza; dotyczyła tajemniczego bohatera wszystkich plemion meksykańskich, Quetzalcoatl, którego symbolem jest „Wąż-uwieńczony-piórami“, ściślej zaś — głowa węża.

Dziś trudno oddzielić autentyczną postać od jej legendy, ale nie ulega wątpliwości, że Quetzalcoatl żył na prawdę — jego następcy, jak następcy Cezara czy Mahometa, przybierali nawet imię wielkiego poprzednika. Podania meksykańskie mówią, że urodził się po śmierci

sala legenda treść starego mitu o walce Dobrego ze Złym, ale nie wykluczone, że była to rzeczywiście walka między dwoma koncepcjami władzy: Quetzalcoatl — zwolennika pokoju i zwolennika terroru... Quetzalcoatl z doborową drużyną wiernych mu rycerzy uszedł na



wschód i gdy osiągnął brzeg morza, pożegłował w głąb oceanu. Pozostawił po sobie przepowiednię, że wróci, gdy nadejdzie w kalendarzu azteckim data jego urodzin; traf choć, że po roku 1363 i 1467 nadeszła ona znowu akurat w 1519, w roku najazdu Corteza... Pozostanie wieczną tajemnicą problem czy był to jedynie wyjątkowy zbieg okoliczności, czy też przemyślny Hiszpan potrafił w sobie tylko znany sposób zasiegnąć języka i chytrze skalkulował datę wyprawy, dowiedziawszy się o przepowiedni...

Pamięć o Quetzalcoatl przetrwała wśród Miksteków bardzo żywa. Wywierał na nich ogromny urok, a że z kolei Mikstekowie mieli duży wpływ na Azteków...



swego ojca, a matka jego zaszła w ciążę od kawałka jaspisu, który polknęła przypadkiem... Był kapłanem i władcą, rządził plemieniem Tolteków przez dwadzieścia dwa lata. Przegrał wojnę domową z Teccatlipocą, „Dymiącym Zwierciadłem“ i musiał opuścić kraj. Trudno dziś określić, na ile w konkretny spór o władzę wpi-

Legenda o wodzu Tolteków

Co się zaś tyczy owych Miksteków, byli oni bardzo ciekawą nacją. Jak inne lu-

li stworzyć swój kalendarz; początki ich oblicza się na piętnaście stuleci przed naszą erą, chociaż — i to prawda — najwcześniejszy ich kamień nagrobny, znaleziony w Uaxactun datowany jest dopiero na rok 416 naszej ery, jest więc o 448 lat późniejszy od głowy doktora Stirlinga...

Niemniej do dwunastego wieku naszej ery plemienne ziemie Majów nie doznawały żadnych poważniejszych wstrząsów politycznych i mieszkańcy ich mogli się spokojnie rozwijać. Przez wieki też wywierali potężny wpływ na rozwój innych kultur meksykańskich; dziś nazwa ich plemienia znana jest na równi z nazwami Azteków czy Inków, ostatnie zaś informacje o rozszyfrowaniu ich pisma wzmogły jeszcze zainteresowanie dla wielkich miast, których ruiny można oglądać na Półwyspie Jukatan...

Ale nie zajmujemy się Majami. Siedzieli dosyć daleko od naszych głównych bohaterów, bliżej zaś i wcześniej rozwijali swą cywilizację inni pobratymcy Azteków.



Agencja „Omnipress“ wydała prospekt „Spacerkiem po Łodzi“. Broszurka ta, jak to jest przyjęte w tego typu drukach, zaczyna się przywitaniami przyjeźdnego utrzymanym w tonie wylewnej grzeczności:

Ostrzeżenie!

1. Za rzucony na chodnik lub jezdnię niedopałek papierosa, zapalnik lub bilet tramwajowy zapłacisz 50 zł mandatu...
2. Wskakiwanie do wozów tramwajowych i wyskaki-

wanie z nich w ruchu jest karalne.

3. „Chwila nieuwagi na jezdni może stać się przyczyną wypadku“.

Po tym miłym „dzień dobry“ dla tych, którzy nie pomni niebezpieczeństw udadzą się na zwiedzanie miasta, podano szereg danych, które, jak twierdzi prospekt „ulatwią ci zaplanowanie dnia“. A więc udasz się, miły gościu, na śniadanie po godz. 7 lub na kawę po godz. 9. Potem możesz zjeść obiad, nie radzimy ci jednak czynić tego w restauracjach dworcowych, bo tam, jak ostrzega prospekt, „nie sprzedają wi na i wódek“. Po obiedzie pójdziesz spacerkiem do Muzeum Sztuki. Możesz w

nim zobaczyć, według informacji prospektu, „obrazy prekursorów abstrakcjonizmu w Polsce. Znajdują się tu między innymi obrazy takich malarzy jak: Leger, Herbin, Herchone, Hans Arp, Vasarely, Mortensen, Malta, Zanartu, Roszda, Baj, Leonor Fini“.

Potem dancing, lokale rozrywkowe i wreszcie skończysz spacer zwiedzaniem Izby Wytrzeźwień. Prospekt ostrzega jednak „Nie korzystaj z niej lub bądź wypłacalnym klientem“ bo „jak dotąd ponad milion złotych winni są miastu przymusowi pensjonariusze Izby“. Wychodząc stamtąd wczesnym rankiem, udasz się do apteki, gdzie lykniesz proszek i teraz możesz wrócić do domu. Kawiarnia, restauracja, te-

atr lub muzeum, dancing, lokale rozrywkowe, Izba Wytrzeźwień, apteka, oto trasa spaceru z prospektem w ręku. Wrażenie na całe życie. Nie myślcie, że prospekt wytyczając trasę spaceru, chce ukryć atrakcje Łódzki. Przeciwnie, atrakcje wypunktowane są starannie, np. „Kapielsko im. 1 Maja — 100 kafelek, 12 ratowników, lekarz na miejscu“ lub „stała wystawa numizmatyczna — duży wybór numizmatyczny“.

W prospekcie znajdziesz też szereg godnych oddzielnych prac odkryć nie tylko z historii sztuki, ale także z historii ojczyzny i z historii literatury. Datę wyzwolenia Łodzi przesunęto więc z 19 na 17 stycz-

nia 1945 r., akcję „Powracającej fali“ B. Prusa przeniesiono do Łodzi. Te wszystkie sensacje otrzymasz za darmo, bowiem prospekt jest bezpłatny. W sumie dzięki sumiennej pracy autorów, korektorów, grafików — trzymając ich dzieło w ręku przestaniesz się błąkać po Łodzi. Łódzka Izba Wytrzeźwień nie narzeka co prawda na brak klientów, ale 20-tysięczny nakład „Spacerkiem po Łodzi“ jest chyba na wyczerpaniu. Panowie, myślcie o nowym wydaniu.

A. L.

„Spacerkiem po Łodzi“

Skończyły się czasy kiedy turysta przybywający do Łodzi zdany był na własny spryt i inicjatywę w zwiedzaniu miasta i układaniu programu dnia. Niestety. Dla wszystkich łaknących informacji o Łodzi

odqTosy str. 9

informacje i zapiski

Kilka dni temu przy ul. Piotrkowskiej 98 urządzono w witrynach istniejącego tam sklepu z odzieżą pokaz modeli: konferansjer szalał przy mikrofonie, modelki deflowały, a... milicja rozpedzała tłum zebrany przed witrynami; oto przykład koordynacji pracy Handlu i Kompanii Ruchu. Fantastyczne powodzenie miał goszczący niedawno w Łodzi radziecki balet na lodzie, który wystąpił z widowiskiem baletowo-cyrkowym. © Ponad 20 łódzkich dziennikarzy otrzymało na uroczystym koncercie z okazji 300-lecia Prasy Polskiej i 100-lecia Prasy Łódzkiej odznaki honorowe m. Łodzi. © W związku ze zbliżającą się wiosną rośnie liczba wagarowiczów — ostatnie łapanki na amatorów świeżego powietrza ujawniają po mniej więcej 30 osób dziennie. © Nareszcie, po wielokrotnych monitach prasowych wydano nowy plan Łodzi zawierający również niezbędne informacje i adresy. © Rewelacyjny chwyt po lemiczny zastosował łódzki Express wykpiwając wyrwany z kontekstu fragment (nienajszczęśliwszy, to prawda) wiersza Romana Łobody drukowanego w „Odgłosach”. © Ponad 700 tysięcy

złotych uzyskają Zakłady Przemysłu Wełnianego im. Bardowskiego w wyniku zobowiązań grup młodzieży ZMS podjętych w sztafecie „Młodzież — Pięćlatce”. © „Gdy gwarzy dziecko, skowronek mój, po naszym domu krasnoludków chodzi rój” — „rymnela” sobie pani J. Dumnicka w expressowym „Spotkaniu z piosenką” — a szkoda, bo impreza pożyteczna i jak dotychczas grafomanii tam nie produkowano. © W Rogowie pod Łodzią odbyło się niedawno ogólnopolskie seminarium Zarządzenia Studentów Polskich i Stowarzyszenia Przyjaciół ONZ na temat roli Zrzeszenia w międzynarodowym ruchu studenckim; złośliwi twierdzą, że zebrani doszli do wniosku, iż rola ta jest ogromna. © Warto przeczytać wydana ostatnio przez Wydawnictwo Łódzkie powieść Moniki Warneńskiej pt. „Chłopcy z Łodzi” mówiąca o grupie bojowej „Promieniści” walczącej w szeregach Gwardii Ludowej. © W związku z hucznym i pompatycznym (z udziałem wiceministra) otwarciem Kawiarni-Klubu ZMS — „Przełom Kulturalny” proponuje, aby do otwarcia każdej puszkę konserw zapraszać co najmniej producenta. © Studencki Teatr Satyryków „Pstrąg” zamiast oczekiwanego przez miłośników tego teatru premiery urządził sobie... jubileusz.

WIL.

RYSZARD DOROBA



czy się kornis podobna, czy się nie podobna
fraszka, dzisiaj drukuje Giger lub Doroba

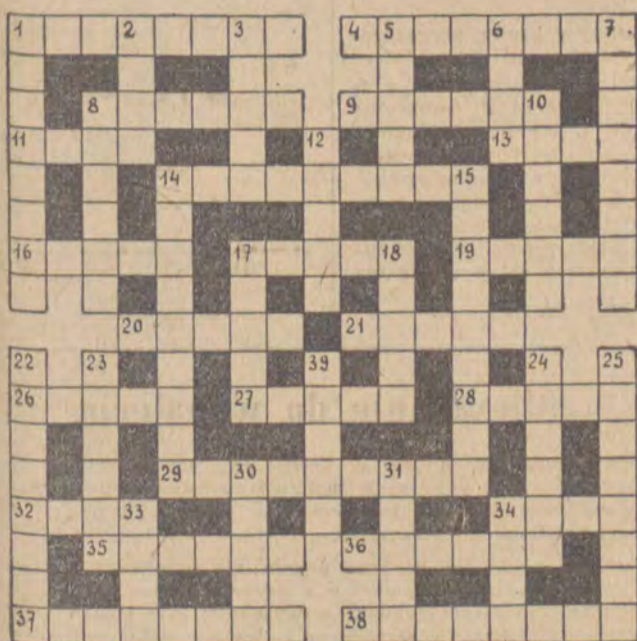
ZADYMIONA ŁÓDŹ

Choć tu dymu nie brak, to jeszcze
wzajem sobie kadzą, aż się tego
niektórzy kurzy.



Rozmawiał LUW

Nasza KRZYŻÓWKA



Znaczenie wyrazów

Poziomo — 1) Imię męskie, 4) Zapis dźwiękowy, 8) Brzydko napisana litera, 9) W dętych instrumentach muzycznych klapka albo wentyl zamykający otwór, 11) Planeta, 13) 1000 mm, 14) Dzielnica we Francji znana z produkcji win musujących, 16) Prawy dopływ Noteci lub prawy dopływ Dunaju, 17) Ryba, 19) Pisarz brazylijski, 20) Płyta ze szkła, marmuru, drzewa itp., 21) Gatunek sosny, 26) Skala, 27) Utwór wokalny, 28) Miasto wojewódzkie, 29) Dział meteorologii, nauka o wyższych warstwach

atmosfery, 32) Powolny krok koński, 34) Dzwig, 35) Gatunek piwa, 36) Znak w piśmie lub w druku jako oznaczenie odpowiedniej głoski, 37) Przyrząd służący do wykresiania krzywej całkowej, 38) Funkcja oficera.

Pionowo: 2) Rzemieśnik, 37) Izogena zerowa, linia łącząca na mapie geograficznej miejsca o odchyleniu magnetycznym równym zeru, 5) Myśliwy Artemidy, zabity przez nią z zazdrości i umieszczony przez bogów na niebie, w postaci gwiazdozbioru, 6) Piorun, 7) Taktomierz, przy-

rzęd mechaniczny systemu zegarowego z miarowo poruszającym się wahadłem, 8) Wędzidło, rodzaj munsztuka, 10) Słodczy, 12) Boks, lekkoatletyka, wioślarstwo itp., 14) Poprzednik oboju, ludowy instrument muzyczny, 15) Cukier prosty o pięciu atomach węgla; otrzymuje się z gumy arabskiej i gumy drzewa wiśni, 17) Barwny dywanik, 18) Glob ziemski, 22) Węzeł kolejowy w województwie łódzkim, miasto w powiecie brzezińskim, 23) Progresa, 39) Długa sukienka kobieca (modna w czasach rzymskich), 24) Zastawa, 25) Jedna z faz inwentaryzacji, dokonywanie spisu zapasów, 30) Roślina, symbol zdrowia, 31) Świst, 33) Ziemia, grunt, 34) Zwierzątko futrkowe. Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 6

Poziomo — Harpun, oliwka, ogród, Azow, wrak, data, ircha, nota, samowar, Sarmata, stół, indyk, rak, trakt, szparag, grat, grave, Anna, molo, mara, derka, seksta, apetyt.

Pionowo — Hindus, poza, nowina, praca, odwaga, Iran, altana, atom, koma, Artur, oblok, ranga, Styks, Maria, taksa, tygrys, Adam, jagoda, ziemia, rana, granat, watra, tors, arka.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. Helena Kaczmarek, Aleksandrów k/Łodzi, ul. Ogrodowa 15, 2. Zdzisław Śnieć, Łódź, ul. Łagodna 32.

3 WYWIADY NA JEDEN TEMAT

o nadchodzącej wiosnie powiedzieli nam.

PANI JOZEFA TRONKOWSKA — kierowniczka kwiatni przy ul. Tuwima 12

Dalo się zauważyć u nas pewne ożywienie. Np. w dniu Święta Kobiet już około południa zabrakło nam kwiatów. Mężczyźni w tym roku starali się lepiej. Popyt na tradycyjne już róże i goździki jakby trochę zmalał. Poszukiwane są kwiaty bardziej dekoracyjne jak frezje, żonkile. Dużo sprzedajemy też tulipanów i kwiatów doniczkowych. Zapotrzebowanie na kwiaty wzrasta, ale niesłusznie zaopatrzenie nie nadąża. Podobno nawet w ogrodnictwie z kwiatami nie jest najlepiej. Jeżeli chodzi o nas, personel, to radość z nadchodzącej wiosny osłabia trochę zmęczenie. Marzec — to nasz najpracowniejszy miesiąc.

PANI HELENA DENYS

— pracownica sklepu „Olimpia”, Narutowicza 1.

Niespodziewanie piękne pogody sprawiły, że łodzianie zaczęli szukać lżejszych okryć. Zwiększyło się zainteresowanie sweterkami i różnego rodzaju wdziankami. Niestety, nie możemy w pełni zaspokoić potrzeb naszych klientów. Czekamy w tej chwili na nowe rzeczy. Po niedawnej gwałtowności w Pałacu Sportowym spodziewamy się ich dużo. Większość naszych klientów to oczywiście kobiety. Na mnie osobiście wiosna działa orzeźwiająco, wyraźnie poprawia mi samopoczucie.

PANI ALDONA WARZOCHA — studentka.

Trudno powiedzieć coś o nadchodzącej wiosnie, mieliśmy ją przecież prawie całą zimę. Teraz oczywiście zaczyna się masa kłopotów. Stare toalety za ciepło, a z nowymi trzeba troszkę poczekać, przynajmniej do stypendium. Jedynie co można zrobić to korzystając z naprawdę ślicznej pogody chodzić po mieście i planować co się kupi, kiedy będą pieniądze. To zresztą bardzo miłe zajęcie, jest w czym wybierać.

Najostrzejsze ołówki świata

Marsjanie są wśród nas

Latające talerze nad Polską nie fruwały, ale w wielu krajach zachodniej półkuli prasa pilnie notuje coraz to nowe fakty pojawienia się owych obiektów. Szczegółnie nasilenie obserwacji marsjańskich pojazdów wypada oczywiście na miesiące letnie, w okresie kanikuły; gdy politycy mają urlopy — trzeba czymś zapełniać szpalty gazet.

Zagadkowe wehikuly ich obyczaje i budowa — zostały opisane już tak dokładnie, że byle uczeń technikum potrafiłby taki talerzyk zbudować. Natomiast pozostaje nadal tajemnicą, jak wyglądają istoty, które kierują tym całym mechanizmem. Tu rozbieżności opinii są większe, nawet w tak elementarnej kwestii — ile np. mają odnóży przybysze z kosmosu...

Chcąc choć częściowo wypełnić tę dotkliwą lukę w poważnych badaniach, redakcja jednego z francuskich magazynów rozpisła rodzaj

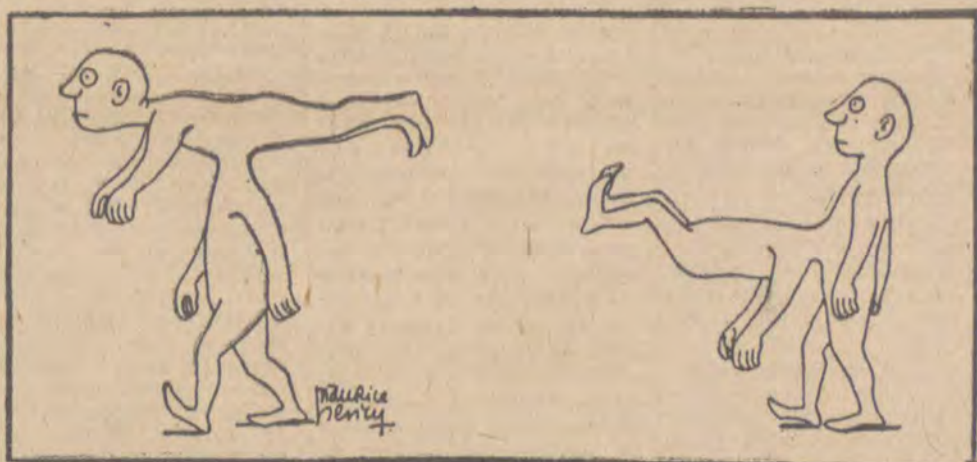


ankiety wśród rysowników Francji, Anglii i USA — jak sobie wyobrażają niezwykłych astronautów (część nadesłanych rysunków publikujemy obok).

Niestety, spodziewanych rezultatów ankieta nie przyniosła. Okazuje się, że i wśród humorystów nie ma

zdecydowania co do powierzchni Marsjan. Na ostateczne rozstrzygnięcie wypadła więc poczekać aż zetknie się z nimi człowiek — oko w oko. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że nastąpi to właśnie na Marsie, prędzej niż na naszej ojczystej planecie.

(JERT)



Pozycja I

MARSJANIE

Pozycja II

ZAGADKA TYGODNIA

ZAGADKA MATEMATYCZNA

Dzisiaj drukujemy zadanie dla czytelników lubiących liczyć. Otóż pewien pan miał na książeczce PKO 700 zł. Ponieważ potrzebował pieniędzy zaczął ową sumę uszczuplać.

Najpierw wziął 200 zł	zostało zatem 500 zł
potem wziął 300 zł	" " 200 zł
następnie wziął 130 zł	" " 70 zł
w końcu wziął 70 zł	" " 0 zł
700 zł	" " 770 zł

Jakim sposobem ów pan zarobił 70 zł, co wynika z podanego wyżej wyliczenia?

Rozwiązania prosimy nadsyłać w terminie tygodnia (wyłącznie na kartkach pocztowych).

Wśród czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania rozlosowane zostaną nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE ZAGADKI Z NR 9

1. Bruno Jasiński „Pałeczki Paryż”
2. Paweł Hulka-Laskowski „Mój Zyrardów”
3. Louis Aragon „Dzwony Bazylej”
4. Jan Potocki „Rękopis znaleziony w Saragossie”
5. Wiktor Niekrasow „W okopach Stalingradu”

Nagrodę książkową otrzymał p. Zenon Gaworski, Łódź, ul. Urzędnicza 8 m. 10.

pocztą literacka

Pani M. Wil. Łódź. Bohaterowie utworu pani — który od wielkiej błędy można nazwać obrazkiem obyczajowym, a nigdy nowelką — używają wprawdzie wielu chuligańskich słów zaczynających się na litery k... i p... obok nich jednak zdarzają się im literackie zwroty. Mówia: „Ja się go nie lekam” i „zdziczał z kretelem” co w zestawieniu z tamtymi słowami brzmi dość śmiesznie. Uważamy, że do napisania utworu wartościowego konieczna jest znajomość realiów. Pani tej znajomości nie wykazuje. Prosty przykład: wyraz „klawo” używany był w gwarze knajackiej w latach trzydziestych, pani zaś wkłada go w usta ludzi współczesnych. Niedobre. Jeśli już musi pani pisać radzimy zainteresować się bliższymi tematami.

Pan C. Mar. Łęczyca. Poemat, który Pan nam nadesłał jest wprawdzie „jak najbardziej aktualny” ale zupełnie niewspółczesny. Tego rodzaju utwory określamy słowami: wierszowanka, nie skorzystamy.

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”. Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244 79. Warunki prenumeracji: miesięcznie 4 zł, kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zwraca reklamówek. Pieniądze zwraca PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Zam. 731 III. L-4

Można w ogóle powiedzieć, że lokatorzy domu przy ul. So-
nej 11/13 wyrobili sobie pogląd, że w Łodzi jest już tak dużo
nowych mieszkań, że po prostu brak na nie amatorów! Pogląd
ten podziela prawdopodobnie również Wydział Kwaterunkowy
DRN. Małuczo, a i my w to uwierzmy...